

Thomas Mayne Reid

Jeździec bez głowy

tlumaczenie: Jarosław Iwaszkiewicz

Przedmowa

W przeciwieństwie do wielu poszukiwaczy przygód na papierze, szlachetny i gadatliwy kapitan Mayne Reid przeżył to wszystko, co w swoich opowieściach zamieścił, a nawet podobno znacznie więcej.

Urodzony w r. 1818 w Orlandii, już jako dwudziestoletni młodzieniec wyjechał na poszukiwanie przygód, naprzód do Meksyku, potem przez Meksyk do Teksasu, gdzie spędził dwa lata w środowisku, w jakim właśnie rozgrywa się nasze opowiadanie. Po tych dwóch latach myśliwskich następuje w życiu młodzieńca szereg lat wojennych: wyprawy dwukrotne na Meksykańczyków w roku 1841 i 1845, w których się dosłużył rangi kapitana. W tym też czasie po raz pierwszy chwyta za pióro, zrazu jako dziennikarz w Filadelfii. W roku 1849 awanturnicza żyłka ciągnie go do wojaczki: wybiera się, wraz z oddziałkiem przez siebie sformowanym, na pomoc nieszczęśliwym Węgrom, lecz zanim dojechał do Europy, powstanie upadło. Mayne Reid został w Londynie i wziął się do pisania powieści, które niebawem zyskały mu rozgłos wszechświatowy.

W powieściach tych, pisanych naiwnie, ale z ogromnym talentem, odtworzył kapitan ciekawe i egzotyczne życie zapadłych kątów Ameryki za dawnych czasów. Wiew romantyzmu przesiąka jego utwory i stanowi ów specjalny czar opowiadań o meksykańskim pograniczu.

Dla mnie opowiadania Mayne Reida stały się czymś nieodłącznym od wspomnień dzieciństwa i stepy meksykańskiego pogranicza zlały i ze stepami ukraińskimi. Mayne jakichś fikcyjnych postaci, mów papierowystrzyżonych po dziecinnemu ze staroświeckich i umieszczonych w zupełnie innym środowisku. Pogodzenie światów było zadaniem niniejszego opracowania. Czy mi udało, czytelnik osądzi. W każdym razie jest ono rezultatem Mayne Reidowskiej fantastyki, romantycznej staroświeci dawnej Ukrainy. Dziwny ten amalgamat nie chciał się zapewne duch jednak poczciwego kapitana wybaczy mi beztraktowanie jego kanwy, na której pozwoliłem sobie wyparę stylizowanych ornamentów.

*Naftowa lampa. Cygaro w ustach.
Cisza w pokoju. Zza palisady
Rzy niespokojnie pstrokaty mustang,
Dzwonią cykady.*

*Księżyc oświeca srebrzyste cedry,
Młody myśliwy, gniewem natchniony
Jedzie galopem, jak anioł prerii
Brzegiem Leony.*

*W hamaku śpiąca blada Luiza
Budzi się, patrzy między parowy,
Widzi na wzgórzu w blasku księżycy
Jeźdźca bez głowy.*

Antoni Słonimski

Jeździec bez głowy

Prolog

W ciszy nocnej nagły tętent kopyt zbudził jelenia teksańskiego.

Zwierzę podniosło szerokie rosochy i skierowało bystry wzrok w ciemności. Zgłuszony tupot z trawy przedostał się na twardy grunt; jelen, porwawszy się, uciekać począł. Lecz, że uderzenia podków zwolniły biegu, przystanął, obejrzał się. Chciał wiedzieć, kto mu sen przerwał w błękitach niezmiernych prerii.

W blasku księżyca, poświata jego bowiem przekradała się przez północny błękitnawy opar, ujrzał jelen człowieka: człowiek jechał konno i zbliżał się coraz to olbrzymiejac w tumanie - ale zwierzę, ujrawszy go, bardziej się jeszcze przeraziło.

O Boże! cóż to za straszliwe zjawisko błąkało się w zamglonym stepie! Jeździec północny był bez głowy!

Jeleń skoczył i w parę susów oddalił się od tajemniczej postaci; kładł się prawie na ziemi, lekko odrzucając nogi: wiatr gwizdał mu w nozdrzach, ulubiona - ale przeraźliwa muzyka. Susem jednym przesadził wąskie w tym miejscu nurty Leony.

Lecz jeździec bez głowy jechał jakby w zamyśleniu głębokim. Romantyczny blask luny spowijał go w całuny srebrolite, a gdy koń przystawał, aby skubnąć rosistej trawy nieco, brzękały cicho, jak komary, sprzączki strzemion i ostrogi. Muzyka ta była tajemnicza, jak zamyślenie się jeźdźca. Przerzywało ją chrapanie konia, gdy poczuł ślad stepowego wilka. Ale myśli jeźdźca nic przerwać nie zdołało. Wiatr tylko mu rozwiewał fałdy czarne płaszczka i jechał sobie tak pod czarnym niebem, pod gwiazdzistym niebem, wsłuchany w strzykania rozśpiewanych cykad.

Woń wodna Leony dopłynęła snadź do nozdrzy konia, w czarnej ciszy zastukały kopyta po skalistym wybrzeżu. Koń wszedł w nurt rzeki i poił się długo. Nogi jeźdźca zanurzyły się po kolana. Koń wyszedł na brzeg, strząsnął z siebie krople srebrne wody, które zamigotały jak obłok pereł w księżycowym blasku. Widać jeździec uderzył konia ostrogami, bo ruszył z kopyta: oddalił się stuk podków od szmeru Leony i zagasł w oddali. Plusk tylko fal o brzeg odzywał się leciutką muzyką. I znowu cisza martwa opadła na śpiące, niezmiernie jak ocean prerie.

I. Domek Maurycego

Wpodłuż Leony, jak okiem sięgnąć, ciągną się faliste stepy, preriami zwane. Rozległe równiny gdzieniegdzie przerywane lekkimi wyniosłościami lub wąskimi parowami, jarami o sypkich i prostopadłych ścianach. Cóż za rozkoszny widok, gdy hasając na oswojonym mustangu lub na swojskim rumaku, wyjedziesz na szczyt pagórka, kształtem swym przypominającego ukraiński kurhan. Monotonny płaszcz stepów przerywają tu i ówdzie zarośla akacji, kępy kolczastych kaktusów, podobnych do świeczników i do przedpotopowych potworów, albo znowu grupy smutnych aloesów. Miejscami, gdzie grunt jest żyźniejszy, pojedyncze drzewa zbierają się w gromady, stają się czasem borem i odprowadzają zadumany i spokojny nurt Leony poważnym orszakiem. Czasem w dolinie jakiej przy źródle zbiorą się wiązy, cisy, dęby i cytryny. Niebo tu jest zawsze szafirowe i bez chmur, a woda w rzece przezroczysta.

Stepy ciągną się aż po granicę meksykańską. Ludziom cywilizowanym obca jest ta okolica. Jedyne w pobliżu fortów pogranicznych gamą się pojedyncze hacjendy, białe i o płaskich dachach, a właściciele ich, kupując za bezcen żyzną ziemię teksańską, robią wcale niezłe interesy i zakładają wokół domów prześliczne ogrody. Natomiast z dala od fortów wtoczą się preriami koczujące plemiona czerwonoskórych, a w stepie mają swe siedliska jelenie, antylopy, króliki, a także jadowne węże, tarantule, skorpiony - straszniejsze niż dzikie koty i teksańskie wilki.

Obok tych niebezpiecznych drapieźców żyją tu również całymi stadami najszlachetniejsze ze zwierząt - pełne ognia dzikie konie, zwane mustangami. Żyją one na wolności, nie znając siodła ani wędzidła, nęcąc swą pięknnością licznych łowców i myśliwych. Z Meksyku podążają tu Mulaci i Metysi, rodowici Hiszpanie, na konie, jak Polacy, łasi, chętnie się za nimi uganiają, a nie brak też Anglików, Irlandczyków i prawdziwych Jankesów.

Zwabieni połowem bogatym, po kilku miesiącach tacy myśliwi zazwyczaj teren swych polowań opuszczają. Trzeba być bardzo odważnym mężczyzną, aby się na stałe osiedlić w tych okolicach, pełnych niebezpiecznych zwierząt, czerwonoskórych Indian i gorszych od dzikich ludzi półcywilizowanych, którzy się tu znad granicy meksykańskiej całymi bandami przekradają, a żadną łupieżą nie gardzą.

Toteż nikt prawie nie wiedział o małej zagrodzie, ukrytej pod wzgórzem nad brzegiem rzeki Alamo, wpadającej do Leony. Składała się ona z niedużej chaty, skleconej z jukkowych okrągłaków i z takiejże szopy, tudzież szeroko ogrodzonego miejsca, pośród którego stał wyniosły dąb korkowy, cień rzucający i na chatę, i na majdan cały. Ogrodzenie to, rodzaj palisady, zamykała mocna brama, zaopatrzona w zamki, zawiasy i zasuwę. Chata, pokryta strzechą z liści jukki, obita była wewnątrz i zewnątrz końskimi skórami. Mocnych wrębów nie przecinały okna - jedynym otworem chaty były drzwi, również skórą obciążone i w mocne zawody zaopatrzone.

W szopie stało kilka koni, zapewne niedawno schwytanych. Blask ich ślepi, gwałtowne ruchy i strzyżenie uszami dowodziły, że ciężko im się pogodzić z niewolą.

Wewnątrz chaty na ścianach wisiały różnofarbne skóry, proste drewniane łóżko pokryte było miękkim futrem jaguara, a obok stało tylko parę krzeseł i nie heblowany stół na szerokich nogach. Jedyłą ozdobą tego pustelnego mieszkania była półka z książkami, które, aczkolwiek pięknie oprawne, wytarte były od ciągłego używania.

Zabulon Stampson, w całych preriach znany jako Zeb Stamp, częstokroć się dziwił, w jakim języku większość tych książek była pisana. Czytelnik nasz jednak łatwo by to zgadł, gdyby podслуchał rozmowę, jaka się właśnie toczy w czterech ścianach izby.

Stary, o wypłowiałych włosach człowiek, o wybitnie słowiańskim nosie, zadartym do góry, ubrany w skórzane wysokie buty i spłowiałą, jedwabną meksykańską kurtkę, wiódł dyskurs obszerny z interlokutorem, który, acz go rozumiał, nie mógł odpowiedzieć. Był to bowiem olbrzymi kundel imieniem Tara.

Człowiek ten mówił najczystsą polszczyzną. Najczystsą, na jaką mógł się zdobyć Teksas wraz z Meksykiem - my znaleźlibyśmy w niej zbyt wiele ruskolitewskich domieszek, ale w każdym razie była to polszczyzna.

- Słuchaj mnie. Tara, sobako, serce moje! Chciałbyś, szelmo, z powrotem do nas, na Podole, co? ha? Wolałbyś latać za zającami niż tutaj się z tymi wilczurami wodzić, co? ha? No, jak będzie, tak będzie, ale to my wkrótce sobie pojedziem, Tara, pojedziem! Jak nie na tamtą stronę morza, to przynajmniej do fortu, co? Tyle naszego, co sobie do fortu pojedziemy, wódeczki się napijemy, bo tutaj to nie można, pan Moryś nie daje, ale na forcie to się napijemy. Co to za życie tutaj? Ani tu dobrze zjeść, ani się napić. Bywało u nas, pamiętasz, Tara, sobako, serce moje! u nas na Wielkanoc stół zastawiają wszystkim, i słodko, i dobrze, i bogato, a sam stary pan, pana Morysia stryjo, chodzi i jajkiem się dzieli. Pamiętasz, Tara, psie, stary sobako! Oj, a czego tam nie było, pamiętasz półgęski, Tara? A pamiętasz baby, Tara? A pamiętasz...

Pies odpowiadał lekkim skowyczeniem, a stary Feliks, mimo iż pan "Nie dawał", pociągał po trochu z flaszki, którą z piwniczki pod podłogą był wydobyl.

- Toś ty, stary złodzieju, sobako, skusił mnie - mówił do psa - ale to nic. Pan nie zauważy, a jak pojedziemy do fortu, ho, ho...

Marzenie o podróży do fortu przerwało Feliksowi usilne kołatanie do bramy i wołanie młodego i świeżego głosu.

- To nasz panicz przyjechał! Tara, panicz przyjechał! - zawołał Feliks.

Tara wesoło naszcze kiwał. Na dworze zmierzchało się już, kiedy Feliks rozryglował zamki bramy. Stary nie omylił się. To wrócił młody łowca mustangów, znany na preriach pod nazwiskiem Maurice'a Geralda; prawdziwe jego imię znane było chyba tylko staremu służącemu. Jedwabna koszula czerwonego koloru, obcisłe buty i skórzane spodnie stroiły go jak lalkę. Miał lat dwadzieścia cztery i smukły był jak jelen. Każdy ruch świadczył o sile i zręczności, a blask oczu o bystrości i rozumie. Pokryty był sadzą i kurzem, lecz promieniał radością. Pstrokaty mustang, o którym krążyły legendy po preriach, przedziwna klacz kasztanowata, lecz nakrapiana, jak futro jaguara, czarnymi i białymi plamkami, o czarnej pęcinnie z białą gwiazdką na czole, uwiązana na mocnym lassie, pianą okryta, miotała się i parskła za koniem Maurycego. Trzy długie wyprawy, wiele bezsennych nocy i przeraźliwych niebezpieczeństw kosztowała Maurycego ta zdobycz. Z triumfem przeto wiódł ją do swej chaty na brzegu spokojnej rzeki Alamo.

Feliks, stary bałagula i konioznawca wyśmienity, kochał się po prostu w tych zwierzętach, nie mógł się napatrzeć, nachwalić, nalubować prześlicznym stworzeniem. Głaskał ją i pieścił, lecz pstrokata klacz parskła tylko i tuliła uszy lub groziła spod aksamitnej chrapy białymi zębami. Nawet uwiązać jej nie sposób było w stajni; po prostu przywiązywano ją do dębu w pośrodku podwórza, i to za łąso z mocnego surowca, aby się nie zerwała.

Zmęczony Maurycy wyciągnął się na łożu - sen jednak, mimo takich presyj, z jakich się wyrwał przed chwilą, nie przychodził. Myśl jakaś widać marszczyła białe

czoło Maurycego, rzucał się niespokojnie na łóżku. Kto nie wiedział o dzisiejszej zdobyczy, o dzisiejszym łupie Maurycego, snadnie by mógł myśleć, iż to marzenie o nieuchwytnym mustangu sen mu spędza z powiek, jak to przez wiele nocy naprzód było. Jednak koń złowiony rżał i grzebał kopytem przed domem pod dębem. Czyż to myśl o nowej zdobyczy sen goni płochliwy, czy nowe marzenie wysnuwa pokusy, czy może myśl o domu dalekim niebacznie, nieopatrznie porzuconym, maści spokój i przemaga zmęczenie?

Aż stary Feliks nie wytrzymał dłużej i jak gdy się tak Maurycy, Moryś jego ukochany, po raz piętnasty przewrócił z boku na bok, podszedł do łóżka panicza i tak biadać począł:

- O Matko Najświętsza, Jezusie, Maryjo, a cóż to pan wyrabia, Morysiu? Jak tylko pan do domu wraca, oczu zamknąć nie może, cóż to panu w głowie? Czy znowu jaka lafirynda drożyny panu nie zabiegła?

- Coś się waszmości zdaje - odpowiedział niechętnie Maurycy - śpij stary z Bogiem.

- Zdaje, nie zdaje... nie śpi pan, a od rzeczy gada... i wciąż jakieś imię powtarza, coś jakby Ludwisia...

- Naprawdę? Mówiłem przez sen to imię?

Maurycy się zaniepokoił.

- Ależ nie przez sen, paniczu... z otwartymi oczyma!...

- Jak się człowiek bardzo zmęczy, to śpi z otwartymi oczyma.

- Hm, hm... może - nie godził się Feliks - ale coś o tym nie słyszałem. Człowiek to nie zając. Tylko niech pan sobie nie zawróci w głowie jakąś Amerykanką! Dość już mamy tej Zadory! Niech pan sobie przypomni...

- Czyś ty zwariował, stary?!

- Niechże pan sobie przypomni, gdzie my jesteśmy! I po co tu sterczymy i na co? Co komu z tego przyjdzie, że się pan włóczy po Teksasie i łapie konie na łące, a tam, nad Dniestrem, stryj o się starzeje, a majątek marnuje... a ziemia, a pałac...

- Nie mów mi o tym - ostro zawołał Maurycy. - Ileż to razy zakazywałem ci mówić o kraju i stryju? Nie znam go, nie wrócę tam nigdy! Tak mi Panie Boże dopomóż!

To rzekłszy, przypomniał Feliksowi, że jest głodny, i kazał mu przynieść ze spiżarni resztkę zapasu: bochenek chleba razowego i zimne mięso.

Właśnie, coś gderząc o używaniu imienia Pana Boga nadaremno, wiemy Feliks udawał się do spiżarni, leżącej po prawej stronie sieni, kiedy za bramą znowu rozległo się pukanie i donośne wołanie.

- Hej, otwórzcie! - wołał głos, a Tara zaczął wyszczekiwać radośnie.

- To pewnie Zeb - powiedział stary sługa i skierował się do bramy.

W istocie był to Zabulon Stampson, w skróceniu zwany Zeb Stamp, brodacz, wysoki, chudy, w butach z krokodylej skóry, w kurtce z jelenia, w szarym, jak kurtka, kapeluszu, opasanym paciorkami z zębów zabitych bestyj. Za szerokim skórzanym pasem miał zatknięty nóż mocny a długi, z boku wisiał mu róg na proch i kule, za plecami sterczała przedpotopowa jednorurka. Liczył sobie nie więcej jak jakie pięćdziesiąt lat, ale imię jego napelniało całe stepy od granicy Meksyku do Skalistych Gór. Nadpływająca fala cywilizacji wypłoszyła go z lasów w pobliżu ujścia Missisipi, gdzie spędził lata młodości. Łzami napelniał oczy starego Zęba stuk siekier, przecinających drogi w dziewiczych lasach, uciekł na wolne prerie, tu piechotą przemierzał obszary, które znał jak własną kieszeń, polując na dzikie i łagodne zwierzęta, zaskarbiając sobie szacunek uczciwych mieszkańców tych okolic, budząc w nieuczciwych lęk i zabobonne przerażenie.

- Poluję zawsze piechotą - rzekł do Maurycego - tylko szelmy polują z konia. Na piechotę to zgonię więcej zwierza za jeden dzień niż konno za tydzień. Ty to co innego, łowca mustangów nie może być bez konia, śmieszne rzeczy, jakże może żyć bez konia. Ja tam mustangów nie łapię, co mi po nich, ale do kozłów rad strzelam... Ale jak to z koniem na misia albo na jelenia? Śmieszne rzeczy, toż się zwierzyne na sto mil wokoło przepłoszy. Czasem to jednak jeżdżę konno... Dziś to tu do ciebie z koniem przyjechałem.

- Feliks go na noc postawi w szopie! Nocujesz u mnie, Zeb?

- Naturalnie. Wierzchowca to już sam przywiązałem. Co się masz kłopotać? Śmieszne rzeczy! A wiesz, dlaczego jestem dzisiaj konno? Wiesz? i ja mam zamiar zapolować na mustangi!

- Ty? - zdziwił się Maurycy.

- I ja! Śmieszne rzeczy! - powiedział Zeb Stamp, wstając z niskiego krzeselka, na którym przycupnął jak kondor na gałęzi. - Chcę zapolować na pstrokatę mustanga! Muszę go mieć - dodał, uderzając w stół ręką.

- Oj, Zeb - zaśmiał się Moryś - lękam się, że ci się to nie uda. Ale skąd znowu przychodzą ci do głowy takie projekty?

- Skąd?... naturalnie dla pieniędzy. To bardzo proste! Ostami raz, gdym bawił nad brzegiem Leony, spotkałem tam nowego plantatora, który ma córkę jak łanię, a wielką wielbicielek koni; nazywa się...

- Pointdexter - dokończył Maurycy.

- A ty skąd wiesz? Śmieszne rzeczy! - zdziwił się stary - Pointdexter, rzeczywiście! Znałem go jeszcze w lasach nad brzegami Missisipi! Miał sto tysięcy czarnych, jak mi Bóg miły! Orał w Murzynów, po prostu, o ile w ogóle orał. Miał pieniędzy w bród, zachciało mu się jeszcze więcej. Przyjechał tu, sprowadził się z całą bandą, z dworem, z fraucymerem, z krewniakami. Śmieszne rzeczy! Jeden kuzynek jego, Kalchun, to mi nie przypadł do gustu, synka ma ładnego; mocne i dobre chłopaczysko; a córka... - tu cmoknął w palce stary myśliwy, ale

Maurycy nie zważał na to, odwrócił się, mało zainteresowany opowiadaniem, i poprawiał sobie coś u pasa.

- Rozmawiała ze mną długo i łaskawie, a kiedy jej powiedziałem, że niedawno widziałem pstrokatę mustanga, po prostu zamęczała mnie, abym go dla niej złapał. A tatuś córeczce obiecał, że da dwieście dolarów temu, kto przyprowadzi jej pstrokatę! No więc wybrałem się tutaj i jeden z nas, śmieszne rzeczy, musi tę bestię znaleźć na stepie... Co?

- Obawiam się, Zeb, powtarzam to po raz drugi, że jest za późno! Zresztą pokażę ci coś! Chodź ze mną na podwórze!

Trudno opisać wyraz zdumienia w oczach starego Zęba, gdy ujrzał prześliczne stworzenie, przywiązane pod dębem; słowa nie mógł wymówić, a potem zanosił się od cichego, skupionego śmiechu.

- Śmieszne rzeczy - powtarzał - a on go już ma! A on go już ma! Ładny grosz dwieście dolarów, ale koń wart tego. Co? Spodoba się pannie Pointdexter!

Zadowolony z tego, że pstrokaty mustang został już złowiony, Zeb Stamp z apetytem zabrał się do przygotowanej przez starego Feliksa wieszki. Gerald czuł się równie dobrze, gdyż wbrew przewidywaniu starego Feliksa wódki starczyło dla obydwu.

Przy kieliszku obaj myśliwi rozgadali się i do późna w nocy przeciągnęły się liczne opowiadania o przygodach, spotkaniach i myśliwskich wyprawach.

Ku północy już tylko Maurycy miał głos; stanął pośrodku wielkiej izby i z zapalem w oczach, z prawdziwym talentem opowiadał raz po raz przygody, jedne

dziwniejsze od drugich. Ciebie, Czytelniku kochany, zapewne najbardziej zainteresują przygody romantyczne. Niejedną taką przygodę opowiedział Maurycy staremu Zębowi. Z nich wyjmuję to tylko, co dla toku dalszej opowieści będzie miało znaczenie.

- Pewnego razu - mówił Maurycy - jadąc spalonymi stepami, które ogarnął przed kilkoma ledwie godzinami piorun pożaru, spostrzegłem zabląkaną karawanę, która kręciła się w kółko po zgliszczach prerii, nie mogąc odnaleźć właściwej drogi. "Buenos dios cavallero! Esta usted Mexicano?" - zagadnął mnie jadący na czele karawany mężczyzna, mocny, wysoki, ale brzydki na twarzy. Jednak okazało się, że najłatwiej jest mi z jeźdźcami porozumieć się w języku angielskim! Byli to Amerykanie, i to ze stanów południowych, co poznałem po olbrzymim orszaku czarnoskórych, który towarzyszył nowym osiedleńcom.

- ...Jak mi Bóg miły - przerwał Zeb Stamp - to musiał być Pointdexter! Oczywiście. Pointdexter z córką!

- Tak mi się przedstawił towarzysz owego pierwszego, starszy, poczciwy jegomość, powiedział mi: "Jestem Woodley Pointdexter z Luizjany, właściciel majątku, który nabyłem nad brzegiem Leony, w pobliżu fortu Inge". Zblądziłem, jak się zdaje, z winy tego pierwszego. Był to, jak się później okazało, krewniak młodych Pointdexterów, Kasjusz Kalchun... Wyjechałem na wzgórze opodal, aby rozejrzeć się w okolicy, zawróciwszy spostrzegłem, że firankę żółtej kolasy, toczącej się środkiem karawany i zaprzęzonej w osiem koni, uniosła drobna rączka. W oknie ciężkiego wehikułu ukazała się blada i piękna twarz... Widziałem, że mi się przypatrywała z ciekawością, gdyż nigdy dotąd zapewne nie widziała takiego ubrania.

- Ubrania! śmieszne rzeczy! ubrania! A sam to nie jesteś wart, aby się tobie przypatrzeć, co? Gdybyś tylko wiedział, jak się podobałeś pięknej damie! oho!

- Mówiła ci?

- Śmieszne rzeczy, nie potrzebuje mi mówić. Wiem, sam z siebie wiem, że jak się takich dwoje, jak wy, spotka, to się nie obejdzie bez zakochania!

- Słowem, że pojechali moimi śladami i wydobyli się na brzeg

Leony; uciekałem od nich jak wariat, ale wróciłem po chwili pod jakimś głupim pretekstem; spałem konia ostrogami, odjechałem i znowu po chwili wróciłem; kazałem im jechać śladem mego lassa. Wreszcie po godzinie jazdy wielka chmura, która się zbliżała, wydała mi się dostatecznym pretekstem, aby wrócić, przestraszyć ich huraganem, skupić ich w jedno miejsce i pozakrywać oczy ludziom i koniom przed zwyczajną burzą! Wstyd mi było grać tę komedię. Przerażone zwierzęta, przerażeni ludzie z zawiązanymi oczami zbili się w jedną gromadę przed chłostą deszczu, reszta ludzi ukryła się na wozach i zamknęła na mój rozkaz szczelnie budy. Nie śmieli spojrzeć na dwór, gdzie padał zwyczajny deszcz; Pointdexter, jego syn, wreszcie i nieprzyjemny Kasjusz schowali się w karecie. Zdażyłem raz szepnąć panie Luizie: "Niech się pani nie boi!" - i to mi wystarczyło. Po burzy odjechałem od nich, jak od niebezpieczeństwa! Ledwie mi się przedstawił. To bardzo nieładnie, że ich oszukiwałem? Prawda, Zeb? Ja, który rzeczywiście nieraz ocalałem kobiety z najrozmaitszych tarapatów...

- ...I to nieraz na swoje nieszczęście - wtrącił tu skromnie Feliks...

- Zakochani zawsze oszukują, jeżeli nie samych siebie, to innych - westchnął Zeb Stamp. - Co tam się będziesz martwić! Odwdzięczysz się za to Luizie prześlicznym konikiem! No, ale już pora spać, śmieszne rzeczy, jak małe dzieci gadamy sobie i opowiadamy aż do północy. A jutro podróż do fortu. Wcześniej wstać trzeba. Spać, Feliksie, spać, Maurycy, jutro zobaczysz pannę Luizę!

Nazajutrz wszyscy trzej obudzili się wczesnym rankiem. Po spożytym naprędcie

śniadaniu zaczęto się wybierać w drogę. Myśliwy Feliks powiązał dzikie konie, o pstrokatej zaś źrebicy sam Maurycy pamiętał.

W godzinę potem trzech mężczyźni mknęli przez równinę prowadząc za sobą konie z pstrokatą klaczą na czele. Stamp zostawał nieco w tyle, nie mogąc nadążyć za rumakiem Maurycego, a podróż zamykał pies Tara.

II. Przyjęcie w hacjendzie

Dziwną mieszaniną barbarzyństwa i cywilizacji było życie fortu Inge. Śmiało można było powiedzieć, że trudno o bardziej rażące kontrasty. W pośrodku na wzgórzu wznosiły się otoczone wysokimi wałami drewniane wysokie palisady i blokhauzy, zbijane z bierwion, mało co z kory odartych; o zachodzie słońca pomyśleć można było, iż były one ze złota, z biegiem czasu ściemniały jednak i dzisiaj pod czerwonymi dachami tuliły się szare w kolorze kolumny, ściągnięte ongiś z puszczy i borów, nie tkniętych ręką ludzką. Nad dachami blokhauzdów dumnych, otoczonych staroświeckimi armatami, spędzanych w ten zakątek z bardziej cywilizowanych garnizonów, powiewał olbrzymi gwiazdzisty sztandar. Na zboczach wzgórza pod wałami, w promieniu armatniego strzału, jak zwykle poczęła się tworzyć wioska, raczej miasteczko. Wąskie uliczki jak strumienie spływały ze wzgórza, czasami rzeczywiście pełne wody, zawsze pełne brudu. Któż wówczas znał słowo kanalizacja? W śmieciach uliczek żerowały kozy, kury i nierogacizna; malutkie domki, z drzewa licho sklecone rozsypywały się po wzgórzu, skupiały się wzdłuż uliczek, piętrzyły się wreszcie jeden nad drugim w miejscach, gdzie się tworzyły targowiska. Ulice, sklepy, tawemy! Ileż tu tajemniczych zakątków, ileż romantycznych obrazków! Tu w korzennym zakurzonem kramie czarny Hiszpan szepcze coś na ucho siwemu handlarzowi; tu przez zielone żaluzje okna, wychodzącego na brudne podwórko, wyglądają czarne jak węgiel, błyszczące oczy ustrojonej damy; środkiem ulicy poganiana cztery siwe, stepowe bydłatka powolny w ruchach, ociężały handlarz wołów; ówdzie znów smukły i zręczny łowca mustangów swą zawadiacką postawą na koniu wzbudza szepty i śmiechy kilku dam z wachlarzami, gawędzących na rogu ulicy.

Ku południowej stronie z góry twierdzy otwierał się widok na błękitną dolinę Leony. Wzgórza lazurowe i lasem obszyte otaczały jej bieg, a dalej rozlewał się step, jak bezkres daleki. Brzegami Leony ciągnęły się opodal twierdzy domy plantatorów, wśród gajów, ogrodów i łąnów trzciny cukrowej. Największy spośród tych domów, wysoki, o płaskim dachu, wysuwał się jak pudło połyskliwobiałe z czarnych zarośli ogrodu; to był dom zwany "Casa del Corvo", dom, w którym osiadł niedawno Woodley Pointdexter z dziećmi.

W pośrodku fortu leżał obszerny plac, służący jednocześnie za plac ćwiczeń i miejsce promenady elity miejscowego towarzystwa. Różowe w kolorycie domki oficerów i urzędników jak na starych rycinach otaczały ów plac, wybrukowany w części płaskimi kamieniami, w części zarośnięty murawą. W głębi przechadzało się parę dam w przeróżnych mantylach, na przedzie, w miejscu skąd otwierał się widok na całą dolinę, stało trzech młodych oficerów. Wzrok ich kierował się ku Casa del Corvo, mówili o zaproszeniu na obiad, jakie właśnie otrzymali od świeżo osiedlonego plantatora.

Młody, ale skłonny do otyłości dragon Hencoc śmiał się i żartował: uważał on, że panna Pointdexter akurat odpowiada jego wymaganiom w stosunku do płci pięknej.

- Panie kapitanie - mówił - cuda pan opowiada! Ale ja jestem zazdrosny i bez zwłoki przystąpię do starania się o jej względy!

Na co kapitan Slomen odparł:

- No, no, już my tam zobaczymy tę pańską odwagę.

Kapitan Slomen uśmiechnął się szeptycznie, sam już bowiem był żonaty.

- Nie boję się ognia najpiękniejszych oczu - zawołał z przechwałką groźny Hencoc.

- Ale takich oczu jeszcze pan nie widziałeś - zapewnił go kapitan.

- Kapitanie - tu ekspansywny tłuścioch chwycił kapitana za ramiona - na Boga, kapitanie, czuję, że moje serce już do niej należy. Cóż za dar plastyki posiadasz pan, panie kapitanie, w swych opowiadaniach, widzę już ją, jakby żywą.

- Ale się pan strzeż. Smok pilnuje tej królowny!

- Brat?

- Ale gdzie tam. Brata ma również, miłe chłopczysko, jedyny z rodziny Pointdexterów nie puszy się jak paw. Ale kuzynek panny. No, no. Ananasik! Nazywa się Kasjusz Kalchun.

- Kalchun, per Dios, znam to imię.

- Walczył on przeciw Meksykańczykom. Ale głównie na tyłach. Mówię wam, figura!

- Ale do czego to prowadzisz swą mowę, kapitanie? - pytał niespokojnie dragon.

- Kuzyn, to kuzyn. No i cóż?

- Nie tylko jest kuzynem, ale i wielbicielem panienki!

- A ona?

- Zdaje mi się, że stary coś tam sobie życzy. Bardzo lubi tego Kalchuna, niech go... Przede wszystkim, ale to pod sekretem, stary nie jest taki bogaty, jak sobie wyobrażają ludziska. A Kalchun z wyprawy meksykańskiej przywiózł niejedną pieniążkę, niejedną diamentkę.

- Ach! rozumiem, pieniężny interes o pannę! Fe! To nieromantyczne!

- A ten kuzyn jest tutaj? - zapytał drugi dragon, milczący dotąd Crosman.

- Naturalnie. Oka z panienki nie spuszcza! Zresztą przesiaduje wiele w tawemie Olduffery'ego. Widziałem tam go dzisiaj. Rosły mężczyzna, ubrany po wojskowemu, mocny jak byk, a niektórzy powiadają, że piękny nawet. Ma wygląd zawadiacki.

- To już się pokaże. Ja też strzelać umiem! - zawołał młody dragon. A w tej chwili zatrąbiono. Był to sygnał codziennej parady wojskowej. Oficerowie się rozbiegli i wnet wyprowadzili swoje oddziały; piechota w fantastycznych mundurach, w białych spodniach, z szamerowaniami na szafirowych kurtkach. Slomen i Crosman pędzili na czele swoich dwóch szwadronów, mocno zresztą zdekompletowanych; konie ich piękne, jak wszystkie konie w tej okolicy, przebierały nóżkami, daleko odsadzając piękne, smukłe u nasady ogony. Codzienny przegląd, defilada przed pułkownikiem, który stał w cieniu ogromnej palmy na boku obszernego podwórza, pykając z długiej fajki, oto były całe obowiązki śmiertelnie nudzących się oficerów. Cóż więc to była za gratka dla nich ten obiad u Pointdexterów w towarzystwie nadobnej panienki, możesz sobie wyobrazić. Czytelniku!

Tymczasem piękna Luiza siedziała w swoim pokoju przed lustrem i przygotowywała się do przyjęcia gości. Pokój jej, wysłany dywanami, matami i meksykańskimi barwnymi plecionkami, podobny był do pudełka kwiatów. Zamyśliła się Luiza przez chwilę. A przez okrągłe małe okienko dochodził z upalnego podwórza miarowy śpiew Murzynów. To z chat, rozłożonych dookoła wspaniałej posiadłości, dolatywało echo śpiewów niewolniczych, w których obok nuty żalu nieraz brzmiał ton tanecznego wesela. Bo człowiek nawet w niewoli zapomina o swych bólach i troskach w wesołej piosence. Zbliżyła się Luiza do okna i oparłszy się o framugę, z wyrazem zamyślenia na pięknej twarzy, spoglądała w dal, na błękitną wstęgę połyskliwej Leony. A twarz, ta była dziwnej urody. Twarz bogini -

piękniejsza jeszcze przez to, iż zdobiła żywą kobietę. Dolna warga jedynie, odęta nieco z dziecinnym wyrazem, nadawała temu marmurowemu obliczu wyrazu życia.

W strojeniu się pomagała Luizie Murzynka imieniem Florynda. Zabawna i obleśna twarz tej czarnej, otoczona morelowymi falbanami ogromnego czepka, uśmiechała się z rozrzewnieniem, ilekroć spojrzała na piękną swą panią. Strojąc się, przypinając białe kwiaty do włosów, karbując żelazkiem nakrochmalone wolanty spódniczek, zarzucając na nią wreszcie przejrystą suknię z białego tarlatanu, zasypywała ją gradem pochlebstw.

Luiza, jak przed chwilą oddana była osamotnieniu i zadumie, tak teraz śmiała się wesoło i głośno z przymilnych wyrazów Floryndy. Jednak gdy Florynda zrobiła napomknienie o ciągłych zamyśleniach się młodej panienki, Luiza się zniecierpliwiła.

- Jak widzę, śledzisz mnie, dobra Floryndo - powiedziała, poważniejąc.

- Ach, miss Lu - odparła tamta - nie widziałam ani tych zamyśleń się, ani wzdychań w Luizjanie. To widać choroba tutejszej miejscowości.

- Prawisz mi tu same niedorzeczności - obruszyła się Luiza.

- Nie gniewaj się, miss Lu - błagała Florynda, przyszpilając lotne fale białej szarfy do rozłożystej jak klosz białego kwiatu spódniczki. - Florynda jest twą wierną niewolnicą i kocha cię jak córkę.

- Przecież rozumiesz sama, że myśląc o przyjęciu licznych gości, muszę się zamyślać - powiedziała Luiza, przekręcając się przed lustrem tak, aby widzieć, jak leży z tyłu suknia. - Goście to bardzo mili, ale żaden z nich nie cieszy mnie specjalnie.

- Jak to? - spytała Florynda zdziwiona, wyjmując szpilki spomiędzy warg i otwierając szeroko usta - nawet ten przystojny, choć gruby, oficer nie podoba się pani?

- Dajmy już spokój tej rozmowie - powiedziała na to Luiza, marszcząc brwi i gładkie czoło. - Idź raczej, zajrzyj, co to za hałas na podwórzu.

W istocie od jakiegoś czasu z dworu dolatywały niespokojne okrzyki i nawoływania. Odbywał się tam taki mniej więcej dialog:

- Hej ty, czarny! A gdzie twój pan?

- Jaki pan? Mister Pointdexter? Młody czy stary?

- Wszystko mi jedno który, gdzie jest?

- O cztery mile stąd. Obaj pojechali dojrzyć roboty przy palisadzie!

- Nieprawda, posiadłości Pointdexterów nie sięgają tak daleko. Gadaj, gdzie są, i koniec!

- Nie wiem.

- A kiedy wróca?

- Na obiad!

- Na obiad - tu rozmawiający wciągnął w płuca miły aromat, dolatujący od strony kuchni - no, to już, chwalić Boga, niedługo! Śmieszne rzeczy. Czarny drabie, żeś ty mnie nie poznał. A ja cię poznałem i pamiętam, żeś tak samo był hardy nad brzegami Missisipi.

- Ach, to przecież nasz Zeb Stamp! Massa Stamp, a gdzie pańska dziewczyna? Niech pan nam co przyniesie, bo to dziś wielki obiad, massa, wielki obiad!

W tej chwili Florynda, a za nią miss Pointdexter wyszły na obszerną werandę, niską, ocienioną markizą z białego płótna w czerwone pasy, zastawioną egzotycznymi roślinami. Panna Pointdexter padła na czerwony hamak i kołysząc się lekko, zawołała swym srebrnym głosikiem:

- Kogóż tu widzę? To mister Zabulon Stampson! Jakże jestem rada pańskiej

wizycie!

To rzekłszy, poczęła się gwałtownie chłodzić wachlarzem z palmowego liścia. Zeb palnął pannie Luizie parę siarczystych komple mentów, przerywanych zwykłym powiedzeniem "Śmieszne rzeczy", na co panna Luiza roześmiała się jak skowronek i wykrzyknęła:

- Jak widzę, w Teksasie zrobił się z pana nie lada pochlebca! Floryndo, czym prędzej daj panu wina. Pan lubi najlepiej xeres.

Przy szklance wina Stampson wytłumaczył pannie Lu, że przybywa w awangardzie Maurice'a, aby uprzedzić pana Pointdextera, że pstrokaty mustang jest już pojmany i że przed wieczorem Łowca Mustangów przywiedzie go do hacjendy.

Przy dźwięku imienia Maurycego bladą twarzyczkę Luizy oblał ciemny pąs. Myśliwy nie zauważył tego, ale przebiegła Florynda, chcąc się upewnić w swych podejrzeniach, zapytała Zabulona:

- Massa, a czy to nie ten sam, co nas ocalił podczas burzy?

- E! - zakrzyknął myśliwy - zaiste! śmieszne rzeczy, może on tam was nie ocalił od burzy, ale się z wami w czasie burzy spotkał!

- Floryndo - z pewnym zniecierpliwieniem zwróciła się miss Pointdexter do Murzynki - przynieś śniadanie dla pana Stampa.

A gdy ta odeszła, powiedziała na pozór spokojnie do starego Zabulona:

- Niech pan da znać, jak przyjedzie pan Maurycy, to mu każę wynieść wina na werandę. Stary obruszył się:

- A cóż pani sobie myśli, że to Maurycemu można dawać jeść w kuchni, z Murzynami? Nie z takich on! To dżentelmen całą gębą.

Pannie Luizie przykro się zrobiło, że się dała unieść swojej dumie i rzekła z godnością:

- A więc, panie Zabulonie, jak przyjdzie pan Gerald, to daj znać, poproszę go z nami do stołu.

To powiedziawszy, skłoniła się staremu strzelcowi i odeszła w cieniste, pełne chłodu pokoje. Udawszy się do swojej komnaty, jęła ją przemierzać spiesznymi krokami, nie mogąc uporządkować wzburzonych myśli.

- Trudno - westchnęła wreszcie - przeczuwam w nim mój los. Lękam się tego losu, ale go nie będę unikała; nie mogę, nie chcę go unikać!

*

Pointdexter rozwinął cały przepych, na jaki stać było jego pierwotne gospodarstwo, aby olśnić gości. Nie tyle ów przepych, ile obecność pięknej panny Luizy oraz duma gospodarza domu wraz z ponurą miną kuzyna onieśmiały panów wojskowych. Tym chętniej też przyjaźnili się z młodzieńcem Henrykiem, który z całą swobodą i wesołością młodego wieku wtajemniczał się w szczegóły garnizonowego życia. Dopiero gdy po obiedzie udali się wszyscy na płaski dach domu, jak to było miejscowym zwyczajem, towarzystwo pozbyło się chłodu i sztywności, zwłaszcza że na dachu również nie przestano roznosić wybornego wina. Dom Pointdextera znajdował się na pewnej wyniosłości, toteż z jednej strony otwierał się daleki widok na prerie. Luiza, zmęczona snadź rolą gospodyni i uśmiechami uprzejmości, które musiała jak maskę wkładać na swą twarz podczas uczty, zbliżyła się do krawędzi dachu i oparłszy ręce na balustradzie, rzuciła spojrzenie w daleki step.

Przez cały czas rozmawiała najuprzejmiej, ale i nader obojętnie z tyloma wielbicielami swej urody, najnatarczywszy był na pewno dragon Hencoc. I teraz, gdy stanęła przed wspaniałym obrazem słońca zachodzącego nad bezbrzeżną przestrzenią preryj, podszedł do niej z jakimś komplementem czy projektem. Z niechęcią odwróciła głowę ku niemu i w przelocie znowu uchwyciła wlepiony w nią z

podejrzliwością wzrok kuzyna, który stał opodal. Oparty o balustradę jak i ona, nie tracił ani jednego jej spojrzenia, ani jednego wyrazu jej twarzy. Rzecz dziwna, nie gniewały go nadskakiwania tamtych, ale za każdym razem, gdy w ciągu wieczora wzrok młodej panny wybiegał w dal prerii, serce jego oblewała gorąca woda zazdrości. Nikt nie mógł się nawet domyślić, co znaczy smętny wzrok młodej dziewczyny, skierowany ku wolnym stepom, ale Kasjusza dręczyły czarne przeczucia.

W dali ukazała się nagle kawalkada, podnosząc tumany kurzu, który wydawał się całkiem różowy w promieniach zachodzącego słońca.

- O, ktoś jedzie stepem - zawołał Henryk, nie wiedząc, że Luiza najwcześniej ze wszystkich spostrzegła obłoczek kurzu na horyzoncie i odeszła na bok, udając obojętną, podczas gdy serce jej poczęło bić mocno.

- To prowadzą dzikie konie - powiedział komendant twierdzy Inge, kierując lornetkę w tamtą stronę. - Tak, to jest Łowca Mustagów, który dostarcza nam dzikich koni. Kieruje się on prosto tutaj, mister Pointdexter.

- Hombre! - powiedział plantator - nic w tym nie ma dziwnego. Prosiłem go o przyprowadzenie kilku koni.

Henryk spojrział przez lornetkę i narobił hałasu:

- Maurycy! To Maurycy! Jak się cieszę, zobaczysz, jakie śliczne konie przyprowadził! - zawołał z entuzjazmem właściwym młodemu wiekowi i zbiegł po schodach prowadzących z dachu na podwórze. Popatrz Lu - wołał z dołu do siostry - to jest Maurycy.

Ale miss Luiza nie potrzebowała patrzeć, serce jej od razu powiedziało, kto tu przybywa.

Czując jednak na sobie badawcze spojrzenie Kasjusza, krzątała się po werandzie, ugaszczając gości, i udawała, że przybycie Maurycego nie sprawiło na niej żadnego wrażenia.

Tymczasem Maurycy przycwałował, prowadząc na lassic pstrokatą źrebicę.

- Ach, jakież to piękne zwierzę! - wykrzyknęli obecni i całe towarzystwo zbiegło przed dom oglądać wierzchowce. Spośród dam jedna tylko żona komendanta twierdzy rzuciła Maurycemu parę protekcyjnych słówek. Młoda Luiza zamieniła z nim tylko spojrzenie. To im wystarczyło.

Niejedna z pań obecnych zapatrzyła się na chłopca. Pył prerii przykrywał jego ubranie, ale policzki były zarumienione od wiatru, gęste włosy połyskiwały, a cała postać jeźdźcy świadczyła o niezwykłej jego sile i zwinności.

- Oto jest ten mustang, o którym panu cuda opowiadałem - zawołał Zeb Stamp, przeciskając się przez tłum otaczający młodzieńca.

- Ten oto junak, śmieszne rzeczy, schwycił go jeszcze przed moim przyjazdem.

- Dostanie za to obiecane dwieście dolarów! - zaśmiał się Pointdexter, a wszyscy wokół zdumieni się, gdyż była to suma ogromna.

Ale Maurycy skłonił się panu Pointdexterowi i powiedział:

- Mister Pointdexter, nie mogę zgodzić się na pańską propozycję, gdyż konia tego nie sprzedaję. Jednakże - ciągnął, uśmiechając się - pan mi tak szczerze zapłacił za inne rumaki, że proszę go teraz, stosownie do naszego zwyczaju, o pozwolenie ofiarowania go jednemu z członków rodziny pana. - A na przyzwolenie Pointdextera dodał:

- Składam więc w darze tego mustanga pannie Luizie. Jeżeli go przyjmie, wynagrodzi mnie w zupełności za trzy dni niebezpieczeństw, z jakimi było połączone zdobycie tak rzadkiego okazu.

Luiza zadrżała. Wysunęła się naprzód i przymykając powieki, aby nie spotkać

smiałego wzroku młodzieńca, powiedziała:

- Przyjmuję pański podarek z wdzięcznością. Tylko ten koń zdaje się jeszcze nie ujeżdżony.

- Dla tego, który go pojmał, ujeżdżenie go jest przecie drobnostką - rzucił wyzywająco Kasjusz Kalchun. - Dajże mu pan lekcję, pame Łowco Mustangów, przed naszymi oczami. Będziemy mieli piękne widowisko!

- W głosie Kasjusza drżało takie szyderstwo, że Gerald nie mógł odmówić. Zeskoczył lekko ze swojego rumaka i, rzucając kapelusz Zebowi Stampowi, zawołał:

- A więc ujeżdżę go!

Poprosił gości, aby się usunęli na taras, sam zaś szybko podszedł do mustanga, obwiązał mu dolną szczękę sznurem z włosia - i odwiązawszy krępujące lasso, jak mała zręcznie skoczył na srokaty grzbiet. Klacz oszalała. Wzniosła się dęba, lecz Maurycy przywarł całym ciałem do jej szyi i wydawał się wraz z koniem wykuty z jednej sztuki marmuru. Klacz nie dała za wygraną, parskając, wznosiła się do góry, to podskakiwała jak piłka na wszystkich czterech nogach, to znów fikała tylnymi nogami; zdawało się cudem, że młodzieniec utrzymywał się na jej grzbiecie. Całe tumany kurzu wznosiły się z podwórza, po którym rzucało się oszalałe zwierzę.

- Otwierać bramę, otwierać bramę! - wrzeszczał Maurycy do gromadki Murzynów, przyglądającej mu się z drzwi i okien kuchni.

Ale żaden z czarnych nie śmiał się nawet ruszyć. Dopiero Zeb Stamp zbiegł szybko z werandy, przebył dziedziniec i otworzył na oścież ciężką bramę w palisadzie. Klacz wyrwała się przez ten otwór i w szalonym pędzie pogalopowała stepem tak szybko, że niebawem zginęła z oczu stojącym na dachu biesiadnikom. Wszyscy przypuszczali, że klacz zabije Łowcę Mustangów, a Kasjusz już się cieszył, że mu się uda jego sztuczka. Luiza była bliska omdlenia, gdy nagle ogólne wołania dodały jej sił. Spąjrzała i zobaczyła, jak Maurycy wraca, prowadząc już i kierując do woli poddanym zwierzęciem.

Zwycięstwo! - zawołała w myśli i uśmiechnęła się, uważając to za dobrą wróżbę. Zbiegła czym prędzej, nie oglądając się na Kalchuna, i podała obie ręce zeskakującemu z oswojonej klaczy Maurycemu.

- Miss Pointdexter - powiedział Maurycy - mech palli zawiesi mu arkan na szyję, i sama zaprowadzi do stajni. Koń, skoro ujrzy w pani ręku ten symbol niewoli, uzna panią za swoją władczynię i ulegnie zupełnie.

Luiza bez wahania uczyniła tak, idąc za jego wskazówką, i własnoręcznie zaprowadziła konia do stajni.

Zeb Stamp stuknął w bok Maurycyego i rzekł:

- No, popatrz, kochanie, czyż to nie cudna panna, śmieszne rzeczy - i rzeczywiście widok przedziwnego konia prowadzonego przez dziewczynę o marmurowym obliczu godzien był pędzla najpierwszych malarzy.

Luizie zaś dźwięczały w uszach wciąż słowa, wypowiedziane melodyjnym głosem Maurycyego: "Skoro ujrzy w pani ręku ten symbol niewoli, uzna panią za swoją władczynię i ulegnie zupełnie".

III. Piknik w preriach

Oficerowie garnizonowi, wywdzięczając się plantatorowi za wspólny obiad, zaprosili Pointdextera wraz z całą rodziną na piknik w preriach. Ponieważ Maurice Gerald, zwany Łowcą Mustangów, znał prerię jak własną kieszeń, zaprzyjaźnieni z nim oficerowie zaprosili go również na przewodnika.

Podczas gdy zawczasu przygotowana kolasa, naładowana zapasami, znikła za falistymi wzgórzami, konny orszak szykował się przed hacjendą. Na czele jechał piękny Maurycy w nowej jedwabnej koszuli. Słońce wstało pogodnie i całe niebo, błękitne jak kwiaty, zarzucone było chmurkami koloru jaskraworóżowego. Róż ich bladł i topniał, gdy wreszcie miss Luiza dosiadła swej pstrokatej klaczy. Niestety, otoczona orszakiem rodziny i przyjaciół, nie mogła z Maurycym zamienić ani słowa. Maurycy zaś jechał naprzód, nie marząc nawet o przedostaniu się do otoczonej rojem wielbicieli paniąki. Wdychał tylko woń czarującą, pełną aromatów odżywczych i przypominał sobie mimo woli lata dzieciństwa i pacholeństwa, kiedy to hasał po naddniestrzańskich rozłogach, marząc o Ameryce, jako o nieosiągalnej prawie chimerze. Urzeczywistnienie marzenia - a oto, na nowo, nieosiągalne horyzonty odkrywa przed nim nagła miłość! Jak zawsze człowiek nienasycony goni za nieuchwytną jakąś marą!

Towarzystwo zdecydowało się oddalić jak można najbardziej w głąb pachnących stepów. Nie potrzebowali się lękać ani zwierząt, ani nawet Indian, gdyż znajdowali się w pokaźnej liczbie, a dla bezpieczeństwa komendant twierdzy zabrał z sobą oddział żołnierzy, dla których w monotonnym życiu przejażdżka ta była prawdziwą radością. Maurycy kierował się ku miejscu, gdzie przy zbiegu Alamo i Leony znajdowało się olbrzymie drzewo, w którego cieniu można było wybornie założyć obóz. Po trzech godzinach jazdy znaleziono się pod wielkim dębem. Kolasa z prowiantami znajdowała się już tam pod opieką Zabulona Stampa. Wszyscy zeskoczyli z koni i zaczęli się raczyć przysmakami. Malownicze grupki w barwnych strojach i mundurach rozrzuciły się po całym wybrzeżu dwóch rzek, pięknej miss Luizy nie opuszczało trzech znanych nam już oficerów, Hencoc, Crosman i Slomen. Maurycy, widząc, że nie będzie mógł choćby paru słów z nią zamienić, wsiadł na swego mustanga, przesadził nurty Alamo i rozpoczął harce po okolicznych wzgórzach. Było to prawdziwe teatrum. Toteż zgromadzona pod dębem publiczność przerwała rozmowy, skupiła się i śledziła bacznie okiem cuda jazdy Maurycego. Ten zaś to jeździł, stojąc, to zeskakiwał i wskakiwał na piękne zwierzę, pędzące w pełnym galopie, to wreszcie, stojąc na koniu, podrzucał kapelusz i celnym strzałem pistoletu przebijał go w locie. Koń jego przesadzał w galopie urwiska i wąwozy, a stojącym z daleka wydawało się, że to jakiś motyl osobliwy fruwa po prostu pomiędzy zielonymi wzgórzami. Dech wszystkim zamnarł w piersi z podziwu, Kalchun tylko odzywał się ironicznie. Nie wiedział, biedaczyna, że głowa miss Pointdexter przepełniona była romantycznymi marzeniami, których, być może, przeląkłby się sam Maurycy.

Mieniące się złociste wino lało się strumieniem z pokaźnej baryłki, przywiezionej z fortu, śmiech dźwięcza! wesoły i powracającego ze swych harców Maurycego powitano chóralną pieśnią i wzniesionymi kieliszkami.

Nagle nadbiegł zdyszany, wysłany na zwiady, Meksykańczyk i, przypadając do Maurycego, zawołał:

- Mustangi!
- Caballada? - zapytał z niepokojem Maurycy.
- Nie manada - odparł Meksykańczyk.

- O czym oni mówią? - zapytał z pogardą Kasjusz Kalchun.

- Caballada - wyjaśnił kapitan - jest to stado dzikich koni.

W tej porze roku konie te są wściekle i mogłyby nas po prostu zagryźć.

- Czy nie wiesz, czy kto je goni? - zapytał Maurycy Meksykańczyk.

- Osioł - zawołał Meksykańczyk i wszyscy się roześmieli.

A starsi i doświadczeni panowie westchnęli z ulgą. Wszak równie dobrze można było przypuścić, że biedne zwierzęta uciekają przed polującymi na nie Indianami.

Tymczasem manada zbliżała się coraz bardziej. Wszyscy czym prędzej wsiedli na konie i wyjechali na step. Cóż za widok przedstawił się ich oczom! Olbrzymie stado koni na swobodzie pędziło galopem wprost na nich, lecz spostrzegłszy ludzi, nagle zawróciło i omijało ich wielkim półkolem. Luiza oszołomiona była po prostu widokiem cudnych rumaków, które podnosząc głowy, rozwiewając grzywy rwały donośnie, jakby nawołując się: zapatrzona córka plantatora popuściła cugli swej pstrokatej klaczy i nagle spostrzegła, że ta daje susa, rusza z kopyta, stara się dogonić stado, w którym poczuła towarzyszy utraconej wolności.

Maurycy pognął za dzikim osłem, który doganiał już stado koni, a chcąc powstrzymać całą manadę, zdecydował się na zabicie długoucha. Jednym rzutem lasa spętał go, pchnięciem noża w serce pozbawił go życia. Gdy się podniósł po zabiciu zwierzęcia, uszy jego uderzył krzyk całego towarzystwa. Spojrzał i struchlał. Pstrokata klacz pędem unosiła Luizę w rozwianej amazonce w kierunku uciekającego stada.

Za nią, ale w znacznej odległości, pędzili Kasjusz Kalchun i kilku młodych oficerów. Błyskawicznie dosiadł z powrotem swego konia i pełen niepokoju wyprzedził wkrótce Kasjusza i innych, wciąż jednak pozostając znacznie w tyle za pstrokatym mustangiem. Towarzystwo zebrane na wzgórzu z zapartym oddechem patrzyło na ten widok: przodem pędzi stado dzikich koni, za nimi młoda dziewczyna na pięknym mustangu, dalej jeździec w malowniczym stroju, na gniadym rumaku, następnie kilku mężczyzn w cywilnych i wojskowych strojach, wreszcie oddział kawalerzystów porwany zapalem.

Po upływie kilkunastu minut widok ten uległ kompletnej zmianie.

Tabun dzikich koni, pstrokaty mustang i jeździec na gniadym rumaku zniknęli z oczu.

Tymczasem rozchukane konie pędziły w kierunku lasu. Maurycy przeraził się, gdyż pstrokaty mustang, uniósłszy amazonkę, mógł ją łatwo roztrzaskać o pnie drzew w lesie. Przyśpieszył zatem pędu. Widział, jak miss Pointdexter kilkakrotnie obejrzała się za nim, jak mu się zdawało z oczyma pełnymi przerażenia. Manada zniknęła w lesie.

Jakież było zdziwienie Maurycyego, kiedy spostrzegł, że pstrokaty mustang zwalnia biegu, a po chwili staje jak wryty. Maurycy rwał się naprzód. Luiza nieruchoma, jak wykuta z marmuru, siedziała w siodle i zda się ze spokojem czekała na Maurycyego.

- Co za szczęście - zawołał Maurycy - że uniknęłaś pani groźnego ci niebezpieczeństwa!

- Dziękuję serdecznie, ale cóż mi groziło?

- Koń panią poniósł, gdyby wpadł do lasu, mógłby być narazić na nieprzyjemności.

- Byłam o to spokojna. Mogłabym tu spotkać Indian, ale sądzę, że zachowaliby się dżentelmeńsko w stosunku do młodej kobiety.

- Jest pani niezwykle odważna, miss Pointdexter - odrzekł na to Maurycy poważnym głosem - ale nie życzę pani spotkania z Indianami, już coś wiem o tym, jak oni postępują z kobietami.

- Gdybym więc spotkała Indian, zawróciłabym, wiedząc, że żaden Indianin nie dogoni pstrokatego mustanga.

- Jak to? Więc pani mogłaby kierować do woli tym pstrym dzikusiem?

- Ależ wcale nie. Z początku poniósł, ale potem spostrzegłam, że mogłabym go z łatwością wstrzymać.

- Dlaczegoż więc go pani wcześniej nie wstrzymała? - zapytał gorączkowo Maurycy i nagle pewne przypuszczenie oblało go chłodem i gorącym równocześnie. - Dlaczego go pani nie wstrzymała wcześniej? - nalegał Maurycy, gdy Luiza milczała, odwróciwszy głowę.

- Może bym go była wstrzymała, gdybym chciała... Ale przepadam za taką szaloną jazdą w preriach, a zresztą wolałam być daleko od nieznośnych komplementów, które mnie tak męczą.

Odpowiedź ta rozczarowała Geralda. Zawrócili konie, a ponieważ najwygodniej było jechać brzegiem rzeki, jechali przez las aż do miejsca, gdzie puszcę przecinał bieg Alamo.

Tu spostrzegli niedaleko brzegu obszerny staw, ogrodzony palisadą z szeroko otwartą bramą.

- Cóż to jest? - zapytała miss Pointdexter, wskazując palisadę.

- To jest pułapka na mustangi. Gdy przychodzą tu do wodopoju, bramę się zamyka, a konie wyłapuje.

- Czy to pan się ucieka do tak nieszlachetnych sposobów polowania?

- Bynajmniej. Moją wyłączną bronią jest łąso!

- Pan włada bronią nadzwyczajnie. Chciałabym też posiadać tę sztukę. Choć powiadają, że nie przystoi to niewiastom.

- Ależ to jest przestarzały pogląd. Znam pewną lady, która znakomicie lassem miota.

- Czy młoda?

- W wieku pani.

- Jakiego wzrostu?

- Trochę niższa.

- Ale zapewne piękna, bo mówił mi ktoś, że Meksykanki są daleko piękniejsze niż Kreolki.

- Zapewne ten ktoś na oczy nie widział Kreolki.

- A czy ja mogłabym się nauczyć zarzucać łąso? - zmieniła przedmiot rozmowy Luiza.

- Naturalnie; rok praktyki wystarczy. Ja sam na przykład wziąłem się do tej broni przed trzema laty, a teraz...

- Jest pan najzręczniejszym łowcą w całym Teksasie!

- O nie! Zapewne słyszała to pani od tego pochlebcy Zabulona Stampa!... No, ale może byśmy wrócili już do naszego towarzystwa?

Ojciec pelli na pewno jest niespokojny. Ojciec pani i pani kuzyn dodał z naciskiem.

- Ach, prawda! Zapomniałam zupełnie! Więc jedźmy!

Powiedziała to tonem tak niechętnym, jakby się jej nie chciało opuszczać "pułapki na mustangi".

Znowu wyjechali na przedziwną równinę, pokrytą kwieciem. Zapach tu, w pobliżu wody, upajał po prostu. Luiza zatrzymała konia i wdychała aromatyczne powiewy.

- Cóż za rozkoszne powietrze - zawołała młoda Kreolka w cieniu tych drzew, nad brzegami tej rzeki chciałabym żyć i...

Chciała powiedzieć "kochać", lecz zawahała się i powiedziała "umrzeć!" Maurycy zauważył.. to wahanie i rzekł:

- Mam wrażenie, że życie w takiej samotni pod otwartym niebem, z dala od siedzib ludzkich rychło mogłoby się pani sprzykrzyć.

- A jakże pan pędzi swój żywot? - zagadnęła Luiza. - Czy nie tęskni pan do ludzi?

- I owszem, tęsknię. Ale takie już jest moje przeznaczenie, kocham polowanie, stępy, a nade wszystko wolność - więc tu na zawsze już zostanę.

- Czy pan ma tu swój dom? - zapytała nagle Luiza.

- Dom? Raczej chata wiejska, miss Pointdexter, jest mi ochroną.

Niedaleko stąd, tam gdzie widać kępę drzew - wskazał jej w kierunku biegu rzeki Alamo grupę pięknych korkowców.

- Chciałabym tylko spojrzeć na ową wiejską chatę - zawołała miss Luiza, spoglądając w tamtą stronę i wstrzymując konia. - A czy w pobliżu pańskiej chaty nikt nie mieszka? Same drzewa wokoło?

A czy bardzo jest malowniczo wokoło pańskiej chaty?

- To zależy od sposobu patrzenia - uśmiechnął się Maurycy.

- I zaledwie milka jazdy? To tak blisko! Wystarczy parę minut galopu!

- A czy nikt nie będzie się o panią niepokoił, brat, ojciec, kuzyn?

- Pan stawia zbyt wiele obiekcji mojej wizycie - zawołała zniecierpliwiona Luiza. - Widocznie pan mieszka nie sam w swojej chacie! - rzuciła porywczo.

- W istocie - uśmiechnął się Gerald - nie mieszkam sam.

- Ten ktoś zapewne nierad bywa z odwiedzin? - syknęła ze złością do Maurycego.

- Przeciwnie - Gerald odpowiedział najspokojniej jak tylko mógł - mój stary sługa przepada za towarzystwem.

- Stary sługa?

- Tak, mój stary sługa Feliks.

- A więc nie stoi nic nam na przeszkodzie! - zawołała z radością panna Luiza i zacięła wypoczętego mustanga.

Z dziwnym uczuciem wkraczała młoda dziewczyna w progi siedliska, gdzie panowała męska surowość i zakonna prostota. Z bijącym sercem oglądała nieliczne przedmioty, stanowiące umeblowanie pokoju. Oczy jej z radością padły na półkę napelnioną książkami. Roztargniona, wyciągnęła białą dłoń i wybrała jeden z tomików. Wzrok jej padł na tytuł, rozwarła książkę i zajrzała do środka, ale nie rozumiała słów napisanych w nie znanym jej języku. Zapytała Geralda niemym spojrzeniem. Ten odebrał jej książkę z ręki i powiedział spokojnie:

- Jestem Polakiem. Pochodzę z dalekiej ziemi, która zapomniała już o tym, co jest wolność. W poszukiwaniu wolności przybyłem tu na stępy; znalazłem tu swobodę, która prawie jest szczęściem, gdyby nie myśl o prześladowanych braciach, pozostałych w ojczyźnie. Zresztą pobyt mój tutaj i rozstanie z ojczyzną otacza tajemnica, o którą nie pytaj próżno, miss Luizo - dodał głosem smutnym.

- Niech mi pan coś opowie o swojej ojczyźnie - poprosiła Luiza.

Zamiast odpowiedzi Maurycy otworzył tom, który odebrał z rąk panny Luizy i począł, biegle tłumacząc na angielski język, czytać jej ustępy z Pana Tadeusza:

Już zaczęły żniwiarki swą piosnkę zwyczajną, Jak dzień słotny ponurą, tęskną, jednostajną, Tym smutniejszą, że dźwięk jej w mgłę bez echa wsiąka; Chrzęsnęły sierpy w zbożu, ozwała się łąka, Rząd kosiarzy otawę siekących wciąż brząka, Pogwizdując piosenkę; z końcem każdej zwrotki Stają, ostrzą żelazca, i w takt kują młotki.

Gdy podniósł oczy od książki i spojrzął na swą słuchaczkę, ujrzał w jej czarnych oczach, głębokich jeziorach, szklisty połysk gromadzących się łez. Odrzucił książkę niedbałym gestem:

- No, miss Luizo - powiedział - czas nam do towarzystwa, lękam się, że się niektórzy nazbyt o panią niepokoją.

To powiedziawszy, otworzył drzwi chaty; dosiedli rumaków, a Feliks z uśmiechem przypatrywał się panie Pointdexter.

- Ta mi się podoba - szepnął cichcem do Maurycego - ta lepsza od Zadory.

Gdy tylko oddalili się od chaty, nagle napotkali Kasjusza, który z pasją i niepokojem począł rozpytywać ich o przygody. Miss Pointdexter nie odpowiedziała ani słowa na jego cierpkie uwagi, natomiast ojcu i bratu, gdy się niebawem z nimi połączyła, powiedziała, wskazując na Maurycego:

- Macie przed sobą dżentelmena, który mnie znowu wybawił z wielkiego niebezpieczeństwa. I to przy pomocy czytania wierszy dodała szeptem, nachylając się ku Maurycemu.

Maurycy uśmiechnął się lekko i wyprostował tylko w drewnianym siedlisku.

IV. Pojedynek w tawernie

Tawerna Oldufferry'ego, ciasna, brudna, ale zawsze ożywiona, była zazwyczaj miejscem spotkania całego męskiego towarzystwa fortu Igne. Stary Oldufferry, postać jak z opery, chytry, siwy, zasępiony, pilnował dobrze swojego interesu i pięknej córki, która obsługiwała licznych gościom. Doskonałe meksykańskie wino było główną przynętą odwiedzających tawernę, która nad drzwiami nosiła znak "Trzech złotych butelek". Nigdy jednak tak liczne i doborowe towarzystwo nie zebrało się w zakopconych i niskich izbach tawerny jak owego wieczora po pikniku w perriach. Oficerowie pragnęli wymienić między sobą zdanie co do zachowania się na przejażdżce pięknej donny Luizy, młodzież teksańska zaś chciała dokuczyć, zresztą niezłośliwie - któżby śmiał zaczepić? - oficerom, podkreślając sukces młodego myśliwego. Zresztą wszyscy zauważyli, że predylekcja, jaką miss Pointdexter okazywała Łowcy Mustangów, źródło swe miała jedynie w jej ekscentryczności. Gdy w najlepsze młodzież gwarzyła, popijając whisky, a piękna córka oberżysty krzątała się między stolikami, na salę wkroczył bohater wszystkich rozmów. Widać, miał on już wracać do swojej pustelni, odziany był bowiem w futrzane myśliwskie spodnie z niewyprawionej skóry, które pięknie odpowiadały czarnej jedwabnej koszuli, rozchełstanej na piersi. Wnet otoczyło Geralda koło młodzieży, chętne pogawędki, niepospolity bowiem ten myśliwy łączył inteligencję z pięknym darem towarzyskiej rozmowy i barwnych opowiadań.

Niejednokrotnie tak przy szklance whisky gwarzono do północy, co było najpóźniejszą porą dla miasteczka Inge. Myśliwskie przygody Maurycego, w których czuć było jego prawdomówność i szlachetne serce, lubiane były niezmiernie i krążyły długo potem, powtarzane z ust do ust, a może jeszcze i dziś nawet, Czytelniku, gdybyś się zabłąkał nad brzegi Leony, usłyszałbyś echo opowiadań o Łowcy Mustangów.

Tym razem ledwie tylko garstka młodych przysiadła się do stolika, przy którym skromnie zajął miejsce Maurycy przezywany Geraldem, rozmowę przerwało gwałtowne wejście nowego gościa tawerny. Był to Kasjusz Kalchun. Zmieszany Oldufferry, przeczuwając jakąś biedę, uprzedzająco grzecznie przyjął kuzyna Pointdexterów i chciał go zaprowadzić do osobnego pokoju ale były wojskowy zatrzymał się w pośrodku izby i odtrącając zóhego oberżystę, zmierzył zuchwałym wzrokiem spokojnie siedzącego przy stole Maurycego.

- Wszyscy napełnić kieliszki! - zawołał gwahownie, a po głosie jego snadnie poznałeś, że jest nieco od użycia trunków podniecony.

Stary Oldufferry napędził córkę za przepierzenie, czym prędzej zaś napełnił kieliszki gościom słodkim hiszpańskim winem.

- Ameryka dla Amerykanów! - zawołał znowu Kalchun, podnosząc w górę rubinami błyszczący kielich. - Precz z uzurpatorami naszych praw! Precz z Europejczykami!

To mówiąc, uczynił parę gwahownych kroków w stronę Maurycego i nie spuszczać z niego oczu, wyciągnął ku niemu kielich. Trącił o dzban Maurycego tak mocno, iż wino chlusnęło i zalało mu cały przód koszuli i spłynęło jak krew po otwartych piersiach. Z zapartym oddechem widzowie patrzyli na tę scenę, tusząc sobie, iż wnet jeszcze ciekawsze będą mieli widowisko.

Tymczasem Maurycy, najspokojniej w świecie, postawił szklankę na stole i powiedział do jednego z otaczającej go młodzieży, nie zwracając uwagi na wyzywającą postawę Kasjusza:

- Ja także jestem Europejczykiem!

- Pan Europejczyk? - urągliwie wmieszał się do rozmowy Kalchun. - Sądząc z ubrania

pańskiego, uważałbym go raczej za Meksykańczyka.

- Niepotrzebnie się pan opiekuje moim strojem - zwrócił się wreszcie Maurycy do Kalchuna - a że się pan przyczynił do jego ozdobienia, więc pozwalam sobie odpowiedzieć na to czymś podobnym.

- To powiedziawszy, szybkim ruchem schwycił kielich i chlusnął czerwonym płynem prosto w twarz Kalchuna.

Wszczęło się chwilowe zamieszanie, zerwano się od stołów i poczęto się tłoczyć w drzwiach, po czym nastąpiła wielka cisza. Kalchun wytarł sobie twarz chustką i sięgnął po rewolwer. Łowca Mustangów był również przygotowany. Właśnie rozległo się kłaśnięcie drzwi, to paru ostrożniejszych gości opuściło tawernę, śmielsi pozostali, nie spuszczać oka z przeciwników. Cicho było, jak makiem zasiał. Przeciwnicy mierzyli w siebie z uwagą, ażeby nie chybić. Kalchunowi pot wystąpił na czoło, Gerald był. błądy i spokojny.

Wtem - Stój! - krzyknął nagle major, dowódca fortu, przeciskając się przez stłoczonych w drzwiach widzów - stój! - zawołał - ani mi się waźcie strzelać się w ten sposób! - dodał, chwytając Kalchuna za rękę. A gdy ten się wzbraniał i wyrывał, dodał jeszcze:

- Jestem komendantem twierdzy i mogę was w każdej chwili wsadzić do kozy , będziecie za kratą pokutowali za dobyte palnej broni w obwodzie fortu! Ale nie jestem przeciwnikiem orężnego spotkania dwóch mężczyzn, tylko niech to będzie naprawdę spotkanie honorowe. A więc przede wszystkim nawołuję was do zgody, panowie!

- Niech ten pan cofnie swoje słowa! - spokojnie powiedział Maurycy.

- Za nic! - zachnął się Kalchun - zabiję go na miejscu.

- Dość tego - zawołał major - pojedynek, no, to pojedynek.

Proszę panów wyjść z tawerny - zawołał do otaczających - a ty, stary, precz! - wrzasnął na trzęsącego się jak liść Oldufferry'ego, który skomlał przed nim, załamując dlonie.

W mig oczyszczono tawernę z publiczności i pojedynek miał się odbyć według wszelkich teksańskich prawideł, dalekich zresztą od europejskich pojęć w tym względzie. Major sprawdzał lufy pistoletów, przeciwników zaś umieszczono w pokojach po dwóch stronach głównej izby; na dany znak mieli wejść równocześnie z przeciwległych drzwi i strzelać do siebie aż do skutku. Hasłem pojedynku miało być uderzenie gongu. Ciemno już było i dokoła tawerny gromadził się tłum szary ciekawych, trzymali się jednak z dala od okien, bojąc się, aby zbłąkana kula im się nie dostała. Przeciwnicy zrzucili z siebie kurtki i stanęli za drzwiami, kurczowo ściskając w dłoniach pistolety, gotowi przestąpić próg na dane hasło i walczyć aż do śmierci. Ciszę przerywało tylko biadanie Oldufferry'ego, przelęknionego o całość swych ruchomości, wśród których miała odbyć się ta walka.

I oto w niebieskim mroku zabrzmiał poważny głos gongu, poruszonego na znak majora. I zaraz obaj młodzi ludzie przekroczyli progi i do uszu zgromadzonych na podwórzu doleciał mocny odgłos dwóch strzałów i brzęk tłuczonego szkła; to zwierciadło Oldufferry'ego rozleciało się w kawałki. Gdy nieco rozprószył się dym, obaj przeciwnicy spostrzegli, że są ranni, ale żaden z nich nie zmienił pozycji. Nastąpił drugi strzał, wreszcie trzeci, po którym zaległa długa (zdawało się zebrany) cisza, potem rozległy się znowu dwa strzały, którym towarzyszył łomot padających ciał i wywracających się krzesel. Po jedenastym wystrzale przestraszeni widzowie dosłyszeli brzęk tłuczonych naczyń i głuche jakieś rżenie, walka jednak trwała nadal.

Tłum przemógł swój lęk i począł się cisnąć do drzwi i do okien w oczekiwaniu dwunastego wystrzału. Wtem zagrzmiał w pustej sali młodzieńczy głos Geralda:

- Mam jeszcze jedną kulę! Proszę cofnąć słowo, bo zabiję!

Kto śmielszy uchylił cichaczem drzwi i zajrzał do środka. Dwaj przeciwnicy szamotali się pośrodku izby, leżąc w kałuży krwi. Maurycy podniósł się na łokciu i skierował lufę

rewolweru do skroni Kalchuna.

- Sangre... - wykrztusił pokonany - rzuć pan rewolwer, cofam swoje słowa!

Pojedynek w Teksasie to nie rzadkość! Kto by tam o tym mówił, ale rozprawa Kalchuna z Maurycem szerokim echem odbiła się między mieszkańcami fortu Inge, pomiędzy ścianami okolicznych hacjend i pomiędzy mieszkańcami nieskończonych prerii, przez długie lata opowiadano sobie o zaciętości i zawziętości przeciwników, którzy dążyli do śmierci, ale wszyscy zawsze sławili i podnosili bardziej szlachetność i siłę pięknego Łowcy Mustangów.

Ciężkie rany obu przeciwników przykuły ich na długie tygodnie do łóżka. Ale, o ile Kalchuna otaczały wygody w Casa del Corvo, biedny Maurycy musiał się przytulić w najuboższym pokoiku "hotelu" Oldufferry'ego, gdzie było brudno, ciasno, niewygodnie, a jeszcze w dodatku musiał znosić gorzkie starego uwagi, który chciał od niego wymusić zapłatę za potłuczone naczynia i zwierciadło. Za to na troskliwej opiece mu nie zbywało: stary Feliks kochającą ręką przygotowywał mu posłanie i skromne jedzenie, nie przestając jednak biadać, narzekać i wspominać o dawnych czasach.

- Że to, powiadam, chce się paniczowi z Hiszpanami strzelać do siebie jak do zajęcy! A cóż to za przyjemność podziurawić się jak rzeszoto! Czy to taka jest zabawa tutaj? A czy to pan tego samego u nas nie mógł robić z bałagunami i ruskimi oficerami?

Ale Maurycy zbyt był osłabiony. Upływ krwi wymagał dobrego pożywienia, a tu stary oberżysta dawał im takie "ścierwo", jak mówił, nie krępując się, Feliks, że siły chorego, zamiast wzrastać, słabły z każdym dniem. Aż tu pewnego rana piękna Gertruda, córka oberżysty, która życzliwszym okiem spoglądała na Łowcę Mustangów niż jej ojciec, przynosi wspaniałą koszyk z olbrzymią zóhą kokardą uwiązaną do pałaka, a w tym koszu rozmaite wina i przysmaki, ułożone snadź ręką kobiecą. Gertruda objaśniła, że jakiś dzentelmen to przyniósł i polecił oddać mister Maurycemu.

Maurycy kazał Feliksowi przeszukać cały kosz dokładnie, czy nie ma tam paru słówek, listu albo kartki, uwiadamiącej, kto pamięta o Maurycem. Niestety, nie ma nic, ani słówka... Maurycy zachodzi w głowę, kto by to mógł przysłać? Feliks twierdzi, że zapewne kobieta. Serce Ściska się Maurycemu namyśl, że to... ona! Ale milczy i nie zdradza swych myśli, z tym większym jednak apetytem zabiera się do przysmaków.

Kosze podobne zjawiały się systematycznie co parę dni, a nikt nie wiedział, od kogo pochodzą, wreszcie w ostatnim z nich znaleziono małe liścik, skreślony po hiszpańsku.

Drogi Panie.

Bawiąc u wuja mego, Sylvio, dowiedziałam się o pańskim wypadku. Mówiono mi, że żywią pana haniebnie, postarałam się więc wpłynąć na polepszenie pańskiego odżywiania, chcąc tym samym choć w części odwdziżyć się za okazaną mi niegdyś tak wielką przysługę! Piszę, siedząc w siodle na koniu. Za chwilę wyjeżdżam do Rio Grande.

Żegnaj mi, mój zbawco życia i honoru.

Izadora Cavarubio de los Lianos".

Liścik wysunął się Maurycemu z rąk, a westchnienie rozczarowania uleciało mu z warg. Feliks zaś splunął za siebie i warknął ze złością:

- Do licha z tą Zadorą, wszędzie się to szwenda!

V. Izadora i Luiza

za dobrych dawnych czasów prababki nasze, miłe moje Czytelniczki, nie leniły się z wczesnym wstawaniem. Od samego świtania hacjenda Pointdexterów napępiała się gwarem życia i pracy, a miss Luiza bardzo wczesnym rankiem ukazywała się na dachu willi, świeża jak róża, wdychając ożywcze poranne powietrze prerii i świergot ptactwa z ogrodu, zakłócony co prawda głośnymi wyrazami, którymi energiczna Flory n d a gromiła leniwego Plutona. Korzystając ze świeżości pachnącego poranka, miss Luiza przechadzała się po tarasie, aby móc usunąć się, skoro słońce zacznie palić, w zacisze chłodnych wirydarzy i przytykających doń balkonów, okrytych kraciastymi matami. W tych dniach jednak na twarz jej nie wypływał uśmiech szczęścia, a raczej zmarszczka niepokoju zjawiała się na marmurowym czole. Ledwie południowy upał spędzał ją z obserwacyjnego punktu: o zachodzie znowu zjawiała się na posterunku, nie odrywając oczu od drogi do fortu, rozmyślając wciąż o nieszczęściu Maurycego, i wciąż mając zwodniczą nadzieję, że ujrzy jego piękną postać mknącą obok ich willi. Niestety, słabe echa odbytego pojedynku, które doszły jej uszu, powiększone rozpaloną wyobraźnią młodej dziewczyny, napępiałały ją niepokojem, tak że po prostu miejsca sobie znaleźć nie mogła; a niedobry Zeb Stamp, który jedynie mógł jej dostarczyć informacji o zdrowiu Geralda, nie zjawił się jak na złość w hacjendzie od dłuższego czasu.

Gdy tak Luiza śledziła ze swej warowni przejeżdżających drogą, myśląc, że przynajmniej przyłapie starego Zabulona, zwróciła raz pewnego uwagę na młodego jeźdźca, który co prawda siedział na koniu po męsku, lecz niewątpliwie był kobietą, gdyż piękny zielony woal otaczał jej słomiany kapelusz a la bergere. Amazonce towarzyszył służyący z dużym koszem, przy którym zóha błyszczała kokarda. - Któż to może być owa nieznajoma? - zapytała sama siebie Luiza - i jak nie wstydzi się w tak niestosownej dla kobiety pozie harcować na koniu?

Nagle wypadła z zarośli antylopa i pomknęła stepem. Zanim Luiza zorientowała się, nieznajoma szybko zacięła konia i cwałując za wystraszonym zwierzęciem, z nieporównaną zręcznością rozwinęła lasso, które czarną linią przecinając zieloność rozwiniętego woalu i róż nieba, opadło na złocistą antyloPę, Pętając ją i zaciskając szyję. Zwierzę upadło, służyący doskoczył i wbił mu nóż w gardło. Luiza krzyknęła i zakryła oczy, natomiast żwawa amazonka dopilnowała, aby służyący ułożył zabite zwierzę na siodle, zabrała odeń koszyk i najspokojniej w świecie pocwalała w kierunku fortu Inge. Niebawem jej rozwiewający się zielony woal zginął na zakręcie.

Miss Luiza odsłoniła wprawdzie z rąk oblicze, ale nie odpędziła smutku, który przeciwnie, jeszcze gęstszym zamroczył welonem jej nadobną twarz. Domyśliła się, niestety, kim była owa nieznajoma. Żadna przecież z dam w tej okolicy nie umiała i nie śmiała władać lassem, prócz owej znajomej, którą Maurycy nazwał był piękną.

Niebawem ukazał się na drodze Zabulon Stamp. Przybywał już za późno, aby mógł ucieszyć stroskane serce miss Luizy. Rozmowa ze starym myśliwym potwierdziła tylko jej domysły. Siedząc przed nim na tarasie, wpatrywała się w jego małe, niebieskie oczka ocienione białą rzęsą, jakby w nich chciała wyczytać swój wyrok. Dowiedziała się tylko, że Maurycy ma się lepiej i że młoda Meksykanka, która tu bawi u swego wuja, donna Izadora Cavarubio de los Lianos, otaczała chorego troskliwą opieką, przesyłając mu delikatne i pożywne jedzenie, czego chory tak bardzo potrzebował. Tłumacząc się upałem, uciekła czym prędzej do swego pokoju, aby w jego miękkiej i chłodnej ciszy wypłakać się do syta. Tak, w chwili, kiedy przekonała się, że Geralda serce zajęte jest przez inną kobietę, stwierdziła również, że kocha go nad życie. Srogo zawiodła się młoda

dziewczyna i łzy tryskały z jej oczu i ścisnęły gardło. Aż ją tak przydybała pocziwa Florynda i poczęła prawić morały. Biedna Luiza, zniecierpliwiona, nie mogąc sobie znaleźć miejsca w domu, uciekła do stajni i tam dosiadłszy pstrokatego mustanga, zacięła go i umknęła daleko w step, jadąc wzdłuż nurtów Leony. Wracając z przejażdżki za akacyjowym gajem, nagle ujrzała przed sobą przyczynę swojego nieszczęścia, piękną Izadorę. Jechała i w cieniu drzew, których woń wciągała otwartymi nozdrzami; Luiza wpiła się w nią wzrokiem. Z szalem zarzuconym na ramiona dzielna Meksykanka wyglądała przepięknie. Rysów wprawdzie nie miała zbyt regularnych, ale oko żywe - płomieniste, włosy miękkie i gęste, rozrzucone w malowniczym nieładzie, a płeć puszystą i rumianą, jak dojrzała brzoskwinia. Piękny uśmiech odsłaniał perłowy blask zębów, a zuchowate i pewne siebie ruchy świadczyły o energii, wesołości i niezwykłej, jak u kobiety, zręczności.

- Jaka piękna, jaka piękna! - powtarzała przez cały dzionek biedna Luiza - aż nazbyt piękna! Czyż nie jest ona piękniejsza ode mnie?

I w myśli zestawiała powab swego zimnego marmurowego oblicza z tą twarzyczką wesołą, oczy swoje przykryte ciężką powieką z jej spojrzeniem pełnym blasku, swój uśmiech, spokojny i wytworny, uśmiech wielkiej damy, z jej roześmianymi wargami, swój majestatyczny sposób trzymania się w siodle z jej zręcznością i brawurą. Czyż może Maurycy, mając przed sobą dwa wizerunki tak odmienne, nie wybrać tego, który jest i miłszy, i żywszy, i na pewno nie zwlekał tak długo z daniem mu do poznania, co za uczucia goreją w jego piersi.

Miss Luiza nie przestała sobie wyrzucać, że była dla Maurycego tak chłodna i powściągliwa, nawet, zdawało się jej, wyniosła, że nie dała mu w niczym poznać, czym jest dla niej spotkanie w pachnących preriach. Ale teraz już było za późno. Teraz musi zapomnieć, zapomnieć, zapomnieć. Powtarzała to słowo przez cały dzień, na próżno starając się sobie znaleźć jakieś zatrudnienie. Odrzuciła krosna z pięknym haftem, gdzie paciorkami przed kilku dniami rozpoczęła wyszywać wzór na woreczek do prochu - dla starego Zabulona, jak sobie powiadała, chociaż prosiła Henryka o skomponowanie dla niej monogramu M.G. Długo siedziała w ogrodzie nad samym brzegiem Leony i ze smutkiem patrzyła na biegnące fale myśląc, że jej życie tak samo dzień za dniem, jak ta fala za falą, upływa. Patrząc tak na mijanie wody, myślała, że czas zagoi wszystkie rany jej serca, ale co prawda niewielka w tym była pociecha, a i przykro jej się robiło na myśl, że może kiedyś przestać kochać Maurycego. Ale w chwilę później śmiertelnie go nienawidziła. "Tak! Nienawidzić i pogardzać muszę tym człowiekiem".

Ale w sztambuchu pomiędzy dwiema różyczkami umieściła aforyzm wyjęty z jakiejś starej książki, ozdobionej sztychami; aforyzm ten głosił, że "kobieta może kochać człowieka, którego nienawidzi i którym pogardza" - do późna w nocy siedziała w oknie, odprowadzając Floryndę, i przez łzy spoglądała, jak księżyc na nowiu, cieniutki i śliczny, wychodził zza akacyjowego gaju, skąd lekki wiatr donosił upajający zapach rozwijających się białych kwiatów. Nie, stanowczo, nie może go ani nienawidzić, ani nim pogardzać, zresztą nie ma powodów, musi być tylko obojętna jak kamień, jak woda. I myśl o własnej twardej obojętności wyciskała jej łzy z oczu.

Nazajutrz znowu ranne zorze z nieba jeszcze nie zniknęły, a panna Luiza była już na tarasie, pijąc świeże powietrze, idące od prerii. Nagle poczuła, że nogi jej słabną, i opadła na krzesło: na drodze do fortu ukazał się na swym mustangu z wolna jadący, wychudły i wybladły Maurycy. Luiza śledziła go z dala, nie odrywając oczu od jego wychudłej postaci. Łowca Mustangów podjechał do hacjendy, stał długą chwilę na drodze, nie spuszczać oczu z białego domu ani domyślając się, że dwoje czarnych, połyskliwych źrenic śledzi go pomiędzy białych balasek tarasu. Po czym ruszył dalej i minawszy Casa del Corvo, znikł w akacyjowym lesie, za którym znajdowała się posiadłość don a Sylvio

Martineza. "Bez wątpienia pojechał do niej !" - powtarzała blada Luiza, gryząc chusteczkę w zębach, i mimo że słońce poczynalo doskwierać, czekała na jego powrót. Po upływie pół godziny kasztanowaty mustang Maurycego wynurzył się z gaju i z wolna wymijając hacjendę, przeniósł swego jeźdźca w kierunku spiętrzonego fortu uwieńczonego olbrzymim gwiazdzistym sztandarem. Nazajutrz Luiza znowu zaczęła pilnie obserwować drogę z dachu swego domu, ale gdy ukazał się koń Maurycego ze swym panem na grzbiecie, powzięła nagłą decyzję; Maurycy zatrzymał się tak samo przez chwilę i spojrzal na dom Luizy, po czym wyruszył znowu w kierunku, gdzie, jak mniemała Luiza, przebywać musiała piękna Izadora de los Lianos. Luiza zdecydowała się na czyn: musiała stwierdzić prawdziwość swych podejrzeń.

Pędem wpadła do stajni i własnoręcznie pomogła Plutonowi osiodłać pstrokatego mustanga. Po upływie kilkunastu minut, jadąc śladem Maurycego, znalazła się w akacjowym lasku, na wzgórzu, skąd jak na dłoni widać było w zielonej dolinie leżącą posiadłość don a Sylvio i drogę do niej wiodącą. Na drodze tej nie było żywego ducha. W płonącym świetle południowego słońca drzemała zielona kotlina, a drzewa akacjowe, otaczające ze wszch stron Luizę, okryte białym kwieciem tak, że listka nawet nie było widać, wydawały woń upojną i przejmującą.

Rozmarzona Luiza przymknęła oczy, ale z rozmodlenia wyrwał ją nagle głos, tuż obok się odzywający:

- Witam panią, miss Pointdexter!

Spojrziała i dostrzegła Maurycego, przezwiskiem Gerald, wyjeżdżającego z białych i wonnych zarośli z uśmiechem na wydelikacnej chorobie twarzy.

- Tak sama? - zagadnął, podjechawszy - lubi pani zawsze samotne wycieczki?

- Wzoruję się na panu - odparła Luiza. - A może pan nie sam krąży w tutejszych okolicach?

- W hotelu hałas pijanych, dolatujący z tawerny, dokucza mi okropnie, a zdrowie nie pozwala mi na powrót do mojej chaty. Więc urządzam sobie takie samotne wycieczki, które zresztą bardzo lubię. Uciekam do tego akacjowego gaju. Prawda, jaki słodki tu cień i zapach, i cisza akacji?

- O, pan tego lepiej doświadcza, skoro bywa pan tu tak często.

- Jestem tu dopiero drugi raz - zdziwiony odparł Maurycy, odwracając oczy od pięknego widoku doliny - ale skąd pani wie, że ja w ogóle tu bywam?

- Siaduję często na tarasie, na dachu Casa deI Corvo. Stamtąd widać wszystko.

- Ach tak? - obojętnie westchnął Maurycy.

Ale Luizę podniecała ta obojętność do gniewu:

- Widziałam również niedawno w tym lesie młodziutką lady, która polowała na antylopy, zarzucając lasso. Domyśliłam się od razu, że to jest owa pańska znajoma, o której mi pan niedawno wspominał.

- Ach, tak, Izadora bawiła tutaj niedawno.

- Nie widziałem jej od kilku miesięcy - dodał Maurycy i znowu długo jej nie zobaczą. Wyjechała w tych dniach do ojca, który mieszka na Rio Grande. Izadora odwdzięcza mi się zawsze za pewną przysługę, którą jej okazałem.

- Jaką przysługę?

- Kiedyś, wracając do domu po polowaniu na mustangi, spotkałem ją otoczoną przez czerwonoskórych. Z łatwością pozbyłem się natrętnych dzikusów, ocalając w ten sposób życie młodej osoby.

- I pan to nazywa drobną przysługą? Gdyby pan mnie w ten sposób ocalił...

- To co? Niechże pani skończy.

- Pokochałabym pana z całego serca.

- W takim razie pragnąłbym - powiedział Maurycy - wyrwać panią z rąk Indian.

- Ależ pan żartuje sobie, nie jestem dzieckiem!
- Wcale nie żartuję - po'! Ważnie dodał Maurycy i spojrzał w oczy dziewczęcia.
W taki sposób młodzi ludzie wyznali sobie swą miłość.

VI. Konszachty Kalchuna

Życie hacjendy toczyło się swoim najzwyczajniejszym w świecie trybem, jeno Kasjusz Kalchun od chwili pojedynku nie mógł dać sobie rady: stracił opinię i wzięcie między oficerami fortu, nie mówiąc już, że cała młodzież z okolicy była po stronie Maurycego w tym głupio przez siarczystego wojaka wywołanym sporze. W chorobie, a długo leżał Ka\$jusz Kalchun, zanim się z postrzałów Maurycego wylizał, nie doglądała go troskliwa ręka młodej Luizy, jak to miał nieraz nadzieję. Oddany samemu sobie leżał godzinami całymi w samotności, i tylko pocziwy Henryk Pointdexter wpadał do niego w wolnych chwilach. Leżąc tak w upalnej komnacie, Kasjusz Kalchun poprzysiągł wyrzucić zemstę nie tylko na młodym Łowcy Mustangów, ale i na swojej rodzinie.

Właściwie mówiąc, i ta hacjenda, i pola trzciny cukrowej, i Murzyni pracujący na nich, wszystko było własnością Kasjusza, gdyż zakochany w Luizie i żywiący nadzieję jej posiadania, całe pieniądze zebrane i prawem, i lewem utopił w dziurawych kieszeniach starego Pointdextera. Ten zaś, mimo że od wczesnego rana hasał po polach do późnego wieczora, gospodarował nieudolnie i bogactw Kasjusza zużytkować nie umiał. Wszystko szło ospale i nie kleiło się, mimo iż dzielny i energiczny Henryk wszystkich sił dokładał, aby ojcu wedle możliwości we wszystkim pomóc.

Chłopiec ten szlachetny, choć gwahowny, budził powszechną miłość i podziw dla swej powierchowności, jak i dla zalet serca. Był on pociechą strapionej Luizy i biedaka ojca, który czuł nad sobą żelazną rękę kuzyna.

Kasjusz, ozdrowiawszy, z nienawiścią w sercu błąkał się po okolicy, mając czasami pragnienie w sercu przydybać gdzie na stronie młodego Łowcę Mustangów. Niestety, nie zdarzyło mu się to nigdy, choć całe dni tracił na poszukiwaniach i nieraz się daleko w stepy zapędzał. Kiedyś, gdy jechał nad brzegiem Leony, uwagę jego zwróciło dziewczę bardzo piękne, które go w szybkim galopie minęło i dalej w step, przebrnąwszy rzekę, poskoczyło. Niedługo myśląc, zaciął rumaka i pośpiesznie jął nadążać za dziewczyną. Oczywiście była to Izadora Cavarubio de los Lianos, znakomita amazonka.

Niestety, ledwie Kalchun przesadził spokojne wody Leon y i oddalił się nieco od brzegu śladem ślicznej Izadory, nagle usłyszał za sobą wołanie.

- Hola, hola panie, nie tak szybko!

Obejrzał się i ujrzał za sobą na koniu młodego jeszcze przystojnego człowieka w meksykańskim stroju.

- A waści co do tego, dokąd Pędzę? - zapytał Kalchun z wysoka, zatrzymując konia i macając w olstrach pistolety.

- Nic mi do tego, ale wolałbym sam podążać za tą damą - powiedział Meksykańczyk, a Kasjusz z bliska spostrzegł, że wyraz twarzy miał niezwykle złośliwy.

- A pan co tutaj porabiasz? - rzucił znowu Meksykańczykowi pytanie.

- Jestem łowcą mustangów - odparł tamten spokojnie i natarł koniem na Kalchuna.

- Zapewne jesteś pan towarzyszem Maurycego Geralda - powiedział Kalchun ze wzgardą, bez zbytniego pośpiechu wyjmując pistolet.

Na dźwięk jednak tego imienia zadzierzysty Meksykańczyk wyrzucił taki grad nagłych przewisk i przekleństw, mieszając najkwiecistsze zwroty angielszczyzny z wdzięcznymi angielskimi wyzwiskami, że ręka Kalchuna opadła na grzywę konia i uśmiech rozjaśnił mu oblicze. Cierpliwie czekał, aż wzburzona fontanna słów opadła, po czym wyciągnął doń spokojnie prawicę.

- Jestem Kasjusz Kalchun - powiedział.

- A ja jestem Miguel Diaz! - zawołał tamten - rozumiem, że się z panem mogę

porozumieć. Przecież to nasz najgorszy wróg. Widzi pan tę młodą dziewczynę, która się unosi teraz na wzgórku, na horyzoncie, za którą obaj goniliśmy przed chwilą? Kochałem ją nad życie, a ten szelma zawrócił w głowie dziewczynie tak, że teraz patrzeć na mnie nie chce i marzy tylko o Maurycym Geraldzie - tu splunął, jak czynił to zawsze, wymawiając to nazwisko. - Poprzysiągłem sobie zemstę!

- Daj jeszcze raz dłoń - powiedział na to Kasjusz - będziemy przyjaciółmi!

I razem już zawrócili konie i brzegiem rzeki podążyli do podnóża fortu, do traktierni Oldufferry'ego, aby zapić kilkoma butelkami whisky nową a gorącą przyjaźń, jaka ich połączyła. Nie była to właściwie przyjaźń, tylko łączność interesów. Aby zaskarbić sobie zaufanie Miguela, Kasjusz Kalchun, choć go mierzilo towarzystwo tego rzezimieszka, wypił niejedną z nim butelkę wina, kupił u niego parę koni, parę wołów, odwiedził go parokrotnie w jego zapadłej chatynie, umiesz-

czonej dyskretnie w gęstym akacjowym zaroślu, zanim się z nim zmÓwił na śmierć biednego Maurycego.

- Zabić! Zabić człowieka to nie sztuka, ale trzeba wiedzieć, jak to zrobić - powiadał, uśmiechając się, Miguel i zacierał ręce. - Pan, panie Kalchun, to w gorącej wodzie kąpany. Tu trzeba wypatrzeć chwili odpowiedniej, momentu, o! - i pociągał ze szklanki łyk dobrego wina.

Kalchun doszedł jednak do porozumienia z szalonym Miguelem, który nosił przezwisko Stepowy Wilk, i ten miał za pięćset pesetów sprzątnąć nienawistnego młodzieńca, który, jak to powziął wieści Kasjusz od murzyńskiej służby, włóczył się wciąż jeszcze w okolicach Casa del Corvo.

Jednak wykonanie swego zamiaru odkładał z dnia na dzień, wciąż twierdząc, że nie miał "okazji", a Kalchun był w duchu zrozpaczony.

Zdradził się przed podejrzanym człowiekiem z najskrytszych swoich zamiarów, a ten trzymał go w rękę, morderstwa nie wykonywał i wciąż więcej od niego żądał pieniędzy albo mu do kupna podsuwał mało warte woły i konie. Kasjusz nieraz całe noce spędzał ze strasZnym pijanicą, aż się cała służba w Casa del Corvo poczęła dziwować, co może łączyć człowieka, bądź co bądź z lepszego towarzystwa, noszącego tytuł kapitana, z osobnikiem o podejrzanym reputacji i do tego zwyczajnym łowcą mustangów i handlarzem wołów.

Pewnego razu zniecierpliwiony Kasjusz zdecydował się postawić sprawę na ostrzu noża. Albo wóz, albo przewóz. Wieści ze wszystkich stron do fortu Inge nadchodzące doniosły, iż Komancze wykopali swoje tomahawki i wstąpili na ścieżkę wojenną, wobec czego przebywanie w okolicy stawało się niebezpieczne. Teraz albo nigdy, powiedział sobie Kalchun i zawiadomił natychmiast Miguela Diaza, że najpewniejsza to chwila, kiedy można zbrodnię ukryć, przypisawszy ją grasującym Komanczom. Czym prędzej kazał sobie założyć konia. Tymczasem obserwował piękną miss Luizę, stojąc na werandzie hacjendy. Młoda dziewczyna, poddana rozkazom ojca, zaniepokojonego wieściami o czerwonoskórych, zaniechała swych samotnych przejażdżek do akacyjowego gaju i na prerii, które w ostatnich czasach były jej stałym przyzwyczajeniem, i spacerowała po pięknym ogrodzie w powiewnych sukniach. Małe tomiki romansów i powieści sprzykrzyły jej się widać, bo na białej ławce widniała porzucona książka. Zachęcony przykładem brata, a kto wie, może pomna widoku Izadory Cavarubio, jęła się Luiza rycerskiego ćwiczenia: a mianowicie wprawiała się w strzelaniu z łuku. Nad brzegiem Leony stojąc, miotła strzałę za strzałą na przeciwny brzeg. Jakież jednak przerażenie ogarnęło Kasjusza, gdy spostrzegł, że z zarośli po tamtej stronie rzeki wylatuje także strzała i spada do stop dziewczyny, zaopatrzonej w mały biały skrawek papierka u nasady ostrza! Strzały te wbijały się teraz jak ostrza noży w serce zakochanego Kasjusza. Czym prędzej dosiadł konia i całą wściekłość, kipiącą mu w duszy, wywarł na

biednym zwierzęciu, ostrogami podniecając je do szybszego biegu, a przy tym postanowił sobie obecnie oka me spuszczać z Luizy, wężąc coś niedobrego w powietrzu.

VII. Historia jednej księżycowej nocy

Przecudna noc podzwrotnikowa srebrem rozlała się nad światem. Cisza dzwoniąca zalegała przestrzeme stepów i spoczywała nad znieruchomiałymi drzewami wzdłuż Leony, w ogrodach miasteczka, fortu i hacjendy del Corvo. Upajająca woń przekwitających już akacji przesycala powietrze, a od stepów dochodził oddech nocy, chłodniejszy nieco i świeższy niż woń kwiatów i drzew, leżący meruchomo nad doliną rzeki. Cicho tak było, że zdawało się, iż jakaś srebrna i ciepła nuta upojenia drży w powietrzu, w granatowym płaszczu nocy. Lekki brzęk nocnych owadów przewijał się tylko w pobliżu białych kwiatów i od strony fortu Inge płakała daleko samotna mandolina, podobna do brzęku moskitów. Tęsknota dyszała w ciepłe owej nocy. Lekki tupot końskich kopyt ledwie zmącił ciszę olbrzymią, trudno ją było bowiem przewyciężyć, w świetle miesiąca ukazał się jeździec, przebył zarośla i znowu wynurzył się nad samym brzegiem Leony, naprzeciw ogrodów Pointdexterów. Lecz nie myślcie, Czytelnicy, iż domowi pięknej Luizy albo jej samej grozi niebezpieczeństwo jakie. Oto i ona sama, dosłyszawszy pluskanie wiosel i skrzypienie furtki, ostrożnie otwiera drzwi werandy, choć północ właśnie obwieszcza bijący głośno dzwon fortu Inge. Dziewczyna z trwogą przebiega ścieżki ogrodu i akacjową aleję, wiodącą do wody. Po chwili jest już przy boku tajemniczego młodziana. Któż by się nie domyślił, że to piękny Maurycy, przyzwiskiem Gerald?

- Droga moja - powiada młodzieniec - przyszedłem cię pożegnać, pożegnać na wieki. Nie mogę się narażać na niebezpieczeństwo oglądania ciebie, nie mogę ciebie wystawiać na męki miłości. Nie możesz być moją, nie możesz być żoną Łowcy Mustangów, ty, taka delikatna i edukowana...

- Najdroższy - na to odpowiedziała Luiza - choćbyś był najprostszym wieśniakiem, muszę należeć do ciebie, ukochałam ciebie całym sercem. Ale czuję, że w pochodzeniu twoim kryje się jakaś tajemnica. Czuję! Ba! wiem nawet o tym, mówiłeś wszakże mi, gdy czytałeś dziwne słowa w nieznanym języku, z książki spoczywającej u ciebie w szafce. Powiedz mi wszystko, a wiem, że poradzimy coś na twe nieszczęścia, a tym samym i na moje, bo już od dawna jedną jesteśmy istotą.

- Miss Luizo - powiedział Maurycy, posmutniawszy - nie chciałbym wracać nawet pamięcią tam, gdzie obiecałem sobie nie powrócić nigdy, ale ponieważ chcę, abyś wiedziała wszystko o mnie, opowiem tobie dziś o mojej młodości. Sierota, bez ojca i matki, wychowany byłem daleko stąd, na kresach państwa, które na mapie dzisiaj nie istnieje, ale kiedyś potężne było i będzie kiedyś potężne. Jestem Polakiem, Luizo - z dumą wypowiedział nazwę swego narodu. Wychował mnie bogaty stryj, pan możny a bezdzietny, który we mnie widział dziedzica zamku położonego na wysokim brzegu Dniestru, zamku, który od setek lat bronił granic Polski od Turków, Tatarów i Kozaków. Krew moich przodków grała we mnie i kiedy naród do boju wezwano, kiedy rewolucja listopadowa zatrzęsała jarzmem zaborcy, młodziutkie pacholę wówczas, uciekłem z domu, by walczyć w szeregach wojsk polskich pod rozkazami generała Dwernickiego. Gdy nas rozbito, ranny i ścigany znalazłem się pod ścianami rodzinnego zamku, ale ów stryj zawzięty w swej miłości własnej, którą ucieczka moja zadrasnęła, nie kazał mi otworzyć wrót pałacu, dopiero mnie rodzice poczciwego Feliksa u siebie w prostej chacie przed siepaczami ukryli. Gdy gniew stryja minął, przychodził on do tej chaty, gdzie ranny leżałem, i błagał mnie na kolanach, bym wrócił do niego. Ale służalstwa jego względem

Moskali i jego nienawiści do mnie przebaczyć mu nie mogłem. Poprzysiągłem sobie, że noga moja tam me postanie i ukryłem się wraz z moim wiernym Feliksem w stepach Teksasu, gdzie nikt nie wie o znakomitości mego nazwiska ani o tym, jaką plamą okrył je mój stryj, przyjaciel Moskali...

- I tutaj pracuję - podchwyciła Luiza - dla pożytku mego społeczeństwa, łapiąc mustangi i narażając życie w dzikich pojedynkach. O, kochany, jakże daleko zawiodło Cię twoje zaślepienie: nienawiść. Czyż nie widzisz, że miejsce twoje jest obok stryja, który na pewno zrozumiał błędy swoje? Pośpieszże czym prędzej do kraju, moja miłość ci będzie towarzyszyć, a za pół roku, gdy powrócisz ozdobiony znakomitym nazwiskiem, które niezdolne jest nic dodać do tych przymiotów, zostanę twoją żoną, aby razem z tobą poświęcić się dla kraju, który jest w niewoli.

Długo jeszcze namawiała pełna zapału Luiza hrabiego Maurycego do przełamania w sobie uporu i zaciętej nienawiści do stryja. Wreszcie dobroć jej i rozsądek zwyciężyły. Maurycy padł zalany łzami do jej stóp i obiecał uczynić natychmiast wszystko, co mu każe.

- O, jak ciężko mi jest oddalać cię od siebie - szepnęła Luiza.

- Natychmiast wracam do hotelu, zabieram rzeczy - zawołał Maurycy- i zaraz wyruszam w drogę nad brzegi Alamo. Tam zabawię dni parę, zabiorę Feliksa i wyjedziemy razem za Ocean, aby powrócić tu po najdroższą rzecz, jaką mam na świecie.

- Ach, Maurycy, Maurycy... - szepnęła z głęboką wiarą piękna Luiza, podając mu obie ręce.

Lekka chmurka, gość rzadki na podwrotnikowym niebie przysłoniła w tym momencie tarczę księżycy. Spiewająca cisza zda się jeszcze przygasła, przypadła do ziemi, jak ptactwo śpiące w otaczających ogrodach drzewach, lekki szept fal rzeki jedyną był muzyką.

Gdy tak rozkochani młodzi oddawali się swoim wybujalym uczuciom, które w noc miesięczną zdawały się im wzrastać o nieprawdopodobnych rozmiarów, kiedy głos miłości głużył w Maurycym odzew dumy i pogardy dla niskich popędów stryja, ciemna jakaś postać, zaczajona za białym posągami ogrodu, pilnie zdawała się baczyć na każdy ich ruch, zdawała się śledzić każde słowo. Oczywiście, to Kasjusz Kalchun oglądał na własne oczy, jak mu obcy przybłęda rujnował całe wymarzone szczęście. Pierwszą myślą namiętnego młodzieńca było rzucić się ze sztyletem w rękę na sprytnego Łowcę Mustangów i trupem przypieczętować swoją boleść. Jednak pomiarkował się niebawem i cichcem przemknąwszy się przez ogrod, wpadł do pokoju Henryka, budząc go gwałtownie ze smacznego snu. Nie dał oszołomionemu chłopcu przyjść do zrozumienia, kazał mu tylko narzucić ubranie i pociągnął gwałtownie między wonne drzewa ogrodu, których kwiaty świeciły jak srebro; ukrył się wraz z chłopcem za pniem drzewa i wskazał na e ejącą sukienkę Luizy w akacyjowej alei:

- Spójrz tam, co widzisz?

- Widzę, jakaś kobieta - powiedział spokojnie młody człowiek.

- Wiesz, kto to jest?

- Nie wyobrażam sobie.

- To siostra twoja, Luiza - zawołał na pół już głośno Kalchun, nie mogąc powstrzymać w sobie kipiącej wściekłości - i wieszże, z kim gada? Z tym łotrem zasmolonym, Łowcą Mustangów, Maurycem Geraldem,

Młoda krew, odziedziczona po matce Hiszpance, wrzała w Henryku. Piękny swym oburzeniem porwał pistolet, który mu wcisnął do ręki pieniący się Kalchun, i poskoczył ku tamtym.

- Ha, zdrajco - zawołał na Maurycego - usuń się stąd dodał, zwracając się do Luizy - niech go zastrzelę jak psa, jak złodzieja, co nocą nachodzi cudze domy, aby z nich wykraść co najdroższe skarby...

- Henryku - zawołała Luiza, nie myśląc się usuwać, przeciwnie, przypadła do brata i ujęła go ramionami za szyję, obezwładniając w ten sposób - Henryku, nie czyn tego, nie czyn w zapalczywości!

Pan Maurycy jest uczciwym człowiekiem, a poza tym kocham go bez miary.

- Puść mnie, puść, lekkomyślna dziewczyno - wyrwał się Henryk - a ty precz stąd, podstępny niegodziwcze! - wołał na młodego Polaka.

- Brat się myli - zwróciła się Luiza do Maurycyego, nie rozwiązując białych dłoni z ramion Henryka - ale ja mu wszystko wytłumaczę, ty zaś uciekaj, uciekaj!

Maurycy jednak podczas tych gróźb i pogróżek nie ruszał się z miejsca.

- Mister Pointdexter - powiedział poważnie - niesłusznie mnie pan nazwał zdrajcą i niegodziwcem. Zdaje mi się, że siostra pana lepiej mnie zrozumiała niż pan, pański ojciec i pański kuzyn. Mam nadzieję, że uda mi się przekonać panów, że ona ma rację. Jeżeli zaś w ciągu sześciu miesięcy nie uda mi się dowieść, że jestem godzien miłości i zaufania miss Luizy, będzie mnie pan mógł, jak pan mówi, zastrzelić jak psa.

To powiedziawszy, zawrócił, odszedł, znikł w cieniu nadbrzeżnych zarośli, po chwili zaś plusk wioseł dał znać, że odpływa na przeciwną stronę Leony.

Spokój i rozsądne słowa tak podziały na młodego Pointdextera, że opuścił pistolet i przestał się wrywać z ramion przerażonej siostry.

- Henryku - drżącym głosem, z wielką powagą powiedziała Luiza - obraziłeś niepotrzebnie szlachetnego człowieka. Nie wiesz nawet, jaki on uczciwy. Wyznał mi przed chwilą, co zamierza przedsięwziąć, aby się stał godnym w oczach waszych mojej ręki. On pochodzi z bardzo wielkiej rodziny, ale to może go podnieść tylko w waszych oczach.

W moich jest zawsze uosobieniem wszelkiej doskonałości.

- Więc go tak kochasz? - zapytał Henryk z zastanowieniem.

- Nad życie, i dlatego boleję niezmiernie, żeś go obraził.

- Czyż go obraziłem?

- I to bardzo, mój drogi Henryku - powiedziała Luiza.

- Wobec tego muszę go natychmiast przeprosić - zawołał Henryk - udam się zaraz za nim do hotelu i wybłagam przebaczenie. Wiesz, on mi się zawsze ogromnie podobał, ten dzielny chłopiec - dodał z uśmiechem, na co Luiza z gorącym wyrazem wdzięczności uścisnęła go za rękę.

Chwil parę stali w milczeniu, słuchając srebrnej ciszy nocnej, po czym rozeszli się szybko. Henryk podążył do stajni, zmęczona wrażeniami nocy Luiza do swego pokoju, gdzie długo nie mogła usnąć.

Ledwie rodzeństwo opuściło srebrny ogród, z krzaków zza posągu wypełznął jak wąż, jadem złośliwym syczący, wściekły Kasjusz Kalchun. Nie namyślając się ani chwili, zdecydował się podążyć natychmiast za Geraldem, który tak zręcznie, nie zdając sobie zresztą z tego sprawy, pokrzyżował wszystkie jego plany i wymykał mu się z rąk, aby wyfrunąć ostatecznie, porywając mu sprzed nosa ukochaną dziewczynę.

- Teraz lub nigdy! - powtarzał sobie Kasjusz ze wściekłością, spoglądając, jak Henryk, ubrany w szerokie gauczo i kapelusz meksykański, cwałował na koniu w stronę traktierni Oldufferry'ego.

Ledwie cień jeźdźca zginął za zakrętem, Kalchun sekretnie osiodłał rumaka i już cwałował śladem kuzyna.

- Teraz lub nigdy! - powtarzał wciąż, zaciskając dłoń na kolbie karabinka przerzuconego przez ramię.

W połowie jednak drogi do fortu skręcił w zawile zarośla i po paru minutach stanął przed zapadłą, krytą zgniłymi jukkowymi liśćmi chatką ponurego Miguela Diaza. Zapukał w zabrudzone szyby, ale nikt mu nie odpowiadał ze środka. Zniecierpliwiony, że

czas upływa, a ptaszek może mu unłknąć raz na zawsze, Kalchun pchnął drzwi lepianki. Jakież było jego zdumienie, które się następnie we wściekłość przerodziło, gdy ujrzał na tapczanie leżącego Diaza, pijanego jak bela! Na wściekłe okrzyki Kalchuna i na razy, których mu nie szczędził, opryszek odpowiadał mętным bełkotaniem.

Nie tracąc czasu na próżne cucenie pijanicy, Kasjusz porzucił czym prędzej niezdolną chatę i dosiadłszy konia, zaciął go szpicrutą.

W tej właśnie chwili młody Maurycy w zamyśleniu i z wolna jadąc, opuszczał zabudowania fortu z przeciwnej strony, kierując się do swej chaty nad brzegiem Alamo. Co pewien czas oglądał się i rzucał pełne niepokoju spojrzenia ku tej stronie, gdzie za piętrzącą się budową fortu, który w świetle nocy nabierał kształtów i form fantastycznych, w świetle zachodzącej już tarczy księżycy rozblyskiwały zakręty Leony i widniał biały mur Casa del Corvo. Wkrótce za nim podążył z miasta Inge drugi jeździec. Był to oczywiście Henryk Pointdexter. Młody plantator nie zastał już w hotelu Maurycyego i za wszelką cenę starał się go dogonić na drodze do Alamo i nie bacząc na niebezpieczeństwa, na Indian, o których znowu tyle opowiadano, i dzikie zwierzęta, szybkim klusem przemierzał wypukłość stepu, oświetloną jasnym blaskiem. W znacznej odległości za nim, jak gdyby się sprzysięgli ci ludzie na zakłócanie ciszy i spokoju śpiącej w srebrze miesiąca pustym, trzeci jeździec, tropiący poprzednich, podążał po pachnącej trawie stepów, gorączkowo ściskając rękojeść pistoletu. Maurycy dojeżdżał już akurat do lasu który leżał pomiędzy stepem a rzeką Alamo, gdy dobiegło go wołanie młodego Pointdextera. Obaj młodzieńcy pogrążyli się w cień lasu. Trzeci jeździec, dopadłszy gęstwiny, zatrzymał się i nasłuchiwał chwilę. Wówczas księżyc zaszedł zupełnie i czarny cień nakrył całą okolicę, i nic już nie rozpoznałeś. Szmer przedranny zappełnił zarośla i zdawało się, że słyhać w nich szept i syk gadziny i mruczenie wikiego jaguara. Nagle ciemność przeszył wystrzał, zamącił na chwilę spokojne szelesty drzew lasu, aby po chwili znowu władna cisza i ciemność nieprzenikniona okryła step, las i wzgórze fortu.

VIII. Nazajutrz

Już po raz wtóry w ciszy mglistego poranka, który nastąpił po miesięcznej nocy i świecił bladym różem naokoło hacjendy, już po raz wtóry zadzwieczał gong, wzywający mieszkańców domu Pointdexterów na ranne śniadanie. Zebrali się wokoło stołu, niczego się nie domyślający ojciec, blada po nie przespanej nocy i niespokojna Luiza i wreszcie opanowany na pozór Kasjusz. Zazwyczaj punktualny Henryk nie zjawiał się jakoś. Nie zwrócono na to z początku uwagi, ale gdy nieobecność chłopca przeciągała się dłużej, Pointdexter począł się niecierpliwic. Wreszcie po pewnym czasie przecucie złowrogie snadź zrodziło się w jego sercu, gdyż począł się z niepokojem oglądać na drzwi lub na okno, nasłuchiwać wreszcie, czy nie dobiegnie go odgłos sprężystych kroków jedynaka.

- Co to znaczy? - pytał raz po raz, ale Luiza nic mu nie mogła odpowiedzieć. Każde pytanie ojca ścisnęło bólem jej serduszko, ona jedna, zdawało się jej, wie o nocnej wyprawie Henryka; dziwił ją jednak niepokój Kalchuna, który co chwila wstawał, wychodził i znowu powracał, sądziła bowiem, iż ona tylko jest posiadaczką tajemnicy. Skłopotana Florynda i zasmucony Pluton kręcili się pod oknami;

Pointdexter huknął na Murzyna.

- Obudź no tam pana Henryka, nabiera już przyzwyczajęń fortecznej młodzieży. Cóż to za wylegiwanie się w łóżku?

- Niestety, panie, pana Henryka nie ma w domu - odpowiedział Pluton. - Wszędzie szukałem, ani śladu.

- A koń?

- Konia w stajni też nie ma - odparł Pluton - posyłałem tam Floryndę.

- Ach, ty leniuchu! Sam to nie możesz zajrzeć? Wiesz przecie, że baba, a do tego Murzynka, nie odróżni kasztana od siwosza. Idź sam i przekonaj się.

Stropiony Pluton poleciał do stajni, a Pointdexter odwrócił się od okna i uważnie spojrzął po obecnych w niskiej jadalni. Kalchun bębnił palcami po stole. Czarne źrenice Luizy skrzyżowały się ze spojrzeniem ojca. Strach je rozszerzył widocznie.

- Jeżeli wyjechał - powiedział stary - to mógł to uczynić tylko nocą lub nad ranem. A może wcale nie wracał do Casa del Corvo?

. W tej chwili wrócił Pluton, twierdząc, że konia jednak w stajni ni ma.

- Chyba spędził noc za domem - westchnął Pointdexter. Mam jednak nadzieję, że nie w tawernie przy stoliku - przy czym badawczo spojrzął na Kasjusza - choć, kto wie - dodał - ma tutaj w domu przykłady po temu...

Pomimo mgły białawej ranek powstawał bardzo duszny. Luiza, osłabiona po pełnej wrażeń nocy, czuła wielkie krople potu, wzbierające na jej czole. Wszyscy w milczeniu spoglądali przez okno, gdzie nad nurtem Leon y mgła kłębiła się gęściej. Spomiędzy jej zwojów połyskiwały drobne fale.

- Sądzę, że Henryk jest w tym wieku... - bąknął po chwili Kasjusz, byle coś powiedzieć.

Luiza wzięła słowa Kasjusza za dobrą monetę, myślała, że ten nie wie o przyczynie wyjazdu Henryka. Woląta też milczeć.

Nagle wpadł zadyszany Pluton do pokoju. Widać było, że wystraszony jest śmiertelnie. Wszyscy troje rzucili się ku niemu.

- Koń... koń... - wykrztusił szary jak ziemia Murzyn.

- Co się stało? - skoczył nań Pointdexter. - Mów!

- Koń pana Henryka przed bramą!

- Co to ma znaczyć, gadaj po ludzku!

- Panicza nie ma, ale jego koń stoi przed bramą...

Wszyscy rzucili się na podwórze. Rzeczywiście, za palisadą na podwórzu stał koń Henryka. Zwierzę to miało tyle przerażenia w oczach, iż wszyscy zrozumieli strach Plutona. Zgroza ogarnęła ich nagle, stanęli i nie mogli powiedzieć ani słowa. Koń parskał nerwowo i bił niespokojnie kopytami, obzierał się ciągle za siebie, piana płatami pokrywała jego sierść: widać było od razu, że umknął przed czymś strasliwym.

Pointdexter bez słowa podszedł do zwierzęcia: na siodle i na grzbiecie widniały wielkie plamy zakrzepłej krwi. Nie można było wątpić, iż krew ta to krew Henryka Pointdextera. Stary z przerażeniem spojrzał na córkę; ale nie namyślając się długo, porwał lejce synowskiego konia, skoczył na okrwawione siodło i jak stał, bez kapelusza, popędził w kierunku twierdzy. Kasjusz kazał osiodłać swego mierzynka i gnał jego śladem. Zrozpaczona Florynda odprowadziła wpółomdlałą Luizę na pokoje.

Wiść o tajemniczym zniknięciu młodego Pointdextera lotem błyskawicy rozeszła się pomiędzy mieszkańcami fortu Inge. Komendant twierdzy zwołał na naradę swych kolegów i kilku poważniejszych przedstawicieli miasteczka. Wszyscy mówili o Indianach i pewni byli, że Henryk padł pierwszy ofiarą Komanczów.

Nikt jednak nie mógł się domyślić, i to było najpoważniejszą trudnością w tym wszystkim, co skłoniło Henryka do opuszczenia w nocy domu ojcowskiego. Kalchun twierdził, iż pożegnał się z nim późnym wieczorem i że nic nie świadczyło o tym, żeby młodzieniec miał się udać gdzie indziej jak do swojego skromnego pokoju na piętrze Casa del Corvo.

Podczas tej narady, która się odbywała na fortecznym dziedzińcu i przeciągała się, nie dając żadnych decyzji ani rezultatów, nagle się zjawił Oldufferry, stary oberżysta, i oznajmił zgromadzonym, iż jest on człowiekiem, który ostatni widział młodego Pointdextera. Wszyscy z najwyższym zdumieniem otoczyli go kołem; komendant, mimo swej powagi, nie umiał ukryć ciekawości i z żywością zawołał:

- Gadajże prędzej, stary.

Oldufferry zeznał, że wczoraj późno w nocy powrócił do oberży stacjonujący tam od chwili pojedynku Maurycy Gerald i zapłaciwszy hojnie zaległy od dłuższego czasu rachunek, zebrał wszystkie swoje rzeczy i osiodławszy rumaka, udał się w drogę, prawdopodobnie do domu swego, który się miał znajdować gdzieś w głębi prerii. Nie upłynął kwadrans czy dwadzieścia minut od wyjazdu łowcy, gdy przygalopował Henryk Pointdexter.

- Czy widywałeś go kiedy z Maurycem? - zapytał komendant.

- Nigdy! - powiedział Oldufferry - i od razu zauważyłem, że tu się dzieje coś poważnego. Pokazałem młodemu, w jaką stronę odjechał tamten. Henryk zaciął konia i pogalopował z kopyta.

- No, to jest już koniec nitki - zawołał komendant. - Cierpliwości, panowie, po nitce dojdziemy do kłębka. - To mówiąc, wydał rozkazy do gotowania się w drogę.

Oddział pod dowództwem komendanta fortu i kapitana Slomena niebawem gotów był do drogi. Chodziło tylko o to, że nikt nie wiedział, w której stronie prerii znajduje się pustelnia Maurycego Geralda. Jedni twierdzili, że Gerald pobudował się nad brzegiem Alamo, inni, że w pobliżu źródeł rzeki Nueros.

Ostatecznie zdecydowano, za mądrą radą starego oberżysty, udać się ku tej stronie, gdzie bieg Alamo najbardziej się zbliża do wspomnianych źródeł. Ruszono z miejsca, ale wszyscy mieli miny zacięte. Żołnierze odgrazali się Komanczom, a oficerowie byli pewni, że powrócą dziś przed wieczorem z łupem dwóch trupów do żałobnego fortu. Nie ulegało wątpliwości, że skoro padł ofiarą Indian młody Henryk, to taki sam los musiał spotkać Łowcę Mustangów, którego rycerskie zachowanie, dzielność i uroda zyskały serca wszystkich prawie obywateli tej pięknej ziemi, w której odbywają się akty przez nas

opowiadanego dramatu.

Oddział komendanta był dość silny. Przy wejściu do lasu dowódca kazał się rozwinąć żołnierzom w tyralierkę i wejść do lasu możliwie szeroką linią, aby nie prześlepić żadnej wskazówki, żadnego śladu, który przez nieopatrność mogli zostawić wrogowie. Sam zaś komendant w towarzystwie dwóch plantatorów i kapitana Slomena posuwał się drogą ku Alamo. Jechali wolno, aby dać czas posłanym naprzód wywiadowcom rozpatrzeć się w terenie.

Jeden z nich (jeźdźcy widzieli go o jakieś dwieście kroków przed sobą) przystanął w miejscu, gdzie poczynały się pierwsze drzewa rzadkiego jeszcze lasu. Na ziemi były wyraźne ślady dwóch koni, które szły za sobą w jednym kierunku, potem zaś rozchodziły się w strony przeciwne. Wywiadowca zawrócił ku dowództwu.

- I cóż tam ciekawego? ~ zagadnął komendant.

- Ciekawe, panie komendancie, bardzo ciekawe - z tajemniczą miną odpowiedział zagadnięty .

- Znalazłeś co?

- Tak.

- Trupa?

- Nie. Ale niechybnie miejsce, gdzie ktoś wyzionął ducha. Niech pan, panie komendancie, jedzie za mną. A ci panowie niech tu zostaną.

- Proszę panów - rzekł komendant, zwracając się do towarzystwa - ja tylko jadę z wywiadowcą. Raczcie zostać, panowie, tutaj sami. Niebawem się połączymy.

Kapitan Slomen, Woodley Pointdexter i Kasjusz Kalchun przyjęli te słowa jako rozkaz i nie ruszyli się z miejsca, Wywiadowca zaś poprowadził komendanta o kilka kroków. Na zielonej darni pod drzewem widniała czarna kałuża skrzepłej krwi. Ilość rozlanej cieczy świadczyła wymownie, iż ten, kto ją przelał, nie mógł żyć dłużej.

- Jak myślisz, kto tu zginął? - zapytał komendant.

- Syn starego osadnika. Dlatego nie chciałem, aby to widział.

- Czy myślisz, że to Komancze? - i komendant zatopił badawcze spojrzenie w oczach wywiadowcy.

Nagle strzał przerwał im rozmowę. Dobiegł on z miejsca, gdzie komendant pozostawił swych współtowarzyszy. Spojrzawszy w tamtą stronę, ujrzeni, jak Slomen i Kalchun biegli ku jakiejś zwierzynie, którą widać udało im się ustrzelić.

- Że też się im chce teraz bawić - zmarszczył się z niechęcią dowódca i zwrócił się znowu do wywiadowcy. - No więc?

- Nie może być tu mowy o Komanczach - odparł stary myśliwy , dla którego puszcza była otwartą księgą, z której czytał, na chwałę Bogu, jak psaherznik z nut. - Widzielibyśmy wówczas ślady co najmniej czterdziestu koni. I to koni niekutych, a tymczasem mamy tu ślady tylko dwóch koni, jedno, te mniejsze, o, widzi pan komendant, to są ślady mustanga; inne to są ślady konia amerykańskiego. Chodźmy ich śladem!

Gdy doszli do miejsca, skąd ślady te rozchodziły się w dwie przeciwne strony, myśliwy schylił się i podniósł niedopałek cygara.

- Tutaj nasi znajomi - powiedział - rozmawiali spokojnie.

Nie mogli palić cygar przed samym morderstwem. Na pewno do kłótni doszło w powrotnej drodze, tam gdzie ta kałuża. Ale najdziwniejsza sprawa, to gdzie się podział trup zabitego?

- Ale czy na pewno został zabity syn plantatora? To okropne...

- Zabity został ten z dwóch mężczyzn, czyj koń przyniósł na sobie ślady krwi.

- Koń Henryka przyszedł okrwawiony!

- A więc...

- Któż jest w takim razie jego mordercą?

Myśliwy-wywiadowca zasępił się na to pytanie.

- Nie chcę podejrzewać Łowcy Mustangów - powiedział po chwili - zbyt to szlachetny człowiek, aby popełnić coś podobnego. A jednak...

- Najlepiej jeszcze nic nie mówić - powiedział komendant, gdy zawrócili do swych towarzyszy. - Jedźmy śladami mustanga, które prowadzą w stronę Alamo: i basta.

- Pewno że nie będziemy dużo gadać - mruknął odgadywacz śladów - bo i tak nic nie wiemy. Gdzie się podział trup małego? Kto go stąd zabrał?

Za powrotem uderzył ich widok dwóch zaperzonych dżentelmenów, stojących przed trupem prześlicznego jaguara. Biedne zwierzę, nie przeczuwając w tym miejscu tak licznej kompanii, wyszło sobie na ścieżkę prowadzącą do wodopoju; ni stąd, ni zowąd ukazało się złociste jego futro pomiędzy zielenią zarośli. Kasjusz i Slomen strzelili prawie jednocześnie i teraz spierali się gorąco o to, czyim łupem jest przesłiczne i dość już rzadkie zwierzę.

Komendant zaniepokoił się, lękając się, aby z tego sporu nie wymkła jaka awantura, tym bardziej że bardzo lubił Slomena, jako dzielnego i wesołego oficera.

- Panowie - powiedział - nie czas teraz na spory, musimy jechać dalej. Każdy wie, z czego strzelał, nic łatwiejszego, jak wydostać kulę z cielska zwierzęcia. Sądzę, że ją poznacie.

- O! Ja zawsze poznam moją kulę - zawołał Kalchun z wściekłością. - Od takich właśnie przypadków znaczą wszystkie moje kule monogramem "K.K." z półksiężycem, herbem naszym rodowym u dołu - dodał z dumą.

- No więc sprawa rozstrzygnięta. Nie było się o co sprzeczać.

Na koń, panowie, musimy jechać.

Komendant zebrał żołnierzy i zwartą kolumną wjechał w las. Przodem szedł wciąż wywiadowca wpatrzony w ziemię, a wzrok jego, mimo że usiłował twarzy nadać pozór obojętności, ilekroć rzucił spojrzenie na komendanta, wyrażał największe zdumienie.

Niebawem przygalopowali pozostali w tyle myśliwi. Jaguar rzeczywiście okazał się zabity przez Kalchuna. Slomen był wściekły, ale upolowana zwierzyna bynajmniej nie polepszyła humoru Kasjusza. Ponury jak noc jechał za wujem, który ze ściśniętym sercem łowił porozumiewawcze spojrzenia, jakie komendant zamieniał z dzielnym wywiadowcą.

Dzień już się miał ku końcowi, a wyprawa nie dała żadnych rezultatów.

Ślady drugiego konia kończyły się, jak wiemy, niebawem w głębi lasu. Oddział dążył za znakami, jakie pozostawiły kopyta mustanga.

Skakał on po prostu tu i ówdzie po stepie, jak gdyby i on stracił swego jeźdźcę.

- Gdzież w takim razie są trupy i gdzie są mordercy? - zapytał półgłosem myśliwy.

Nagle wyciągnął rękę przed siebie i zamarł w tej postawie, wskazując coś w niebieskawej oddali rozległego, pachnącego wieczorem stepu. Obecni rzucili tam okiem i skostnieli, miotani sprzecznymi uczuciami. Oto na stepie ukazał się koń dzwigający jeźdźcę dziwnej postaci.

Na pozór zwyczajny, postawny jeździec nie miał głowy. Przez chwilę cały oddział bez ruchu wpatrywał się w zjawisko. Koń-widmo poruszał się zrazu z wolna, a w miarę jak się zanurzał w mgłę stepu, wydawał się coraz wyższy. Jakiś żołnierz przeżegnał się głośno.

- Za mną! - krzyknął wówczas komendant i skoczył naprzód, ale nikt nie poszedł w jego ślady, prócz dzielnego Slomena.

Tymczasem zaś koń tajemniczy, jak gdyby go dotknęła ostroga jeźdźcy bez głowy, ruszył z kopyta wprost ku czerwonej tarczy, stojącej na zachodzie. Dziwna jego sylwetka odcięła się wyraźnie na malinowym jej tle, pędził prosto ku słońcu i małał coraz bardziej; wreszcie znikł, pochłonięty jak gdyby przez rozpaloną do czerwoności kulę zwisającą nad samym stepem.

Komendant spostrzegł, że pościg byłby daremny, i wstrzymał konia.

Przerażone spojrzenie skrzyżował ze zdumionym wzrokiem dzielnego Slomena.

- Sprawa zdaje się wikłać - powiedział.

- Nie bardzo ja lubię - odparł Slomen - kiedy do naszych spraw poczynają się mieszać inne jakieś siły.

- Nie gadałbyś głupstw! - powiedział poważnie komendant i uczynił znak krzyża.

IX. Znowu w domku Maurycego

Tymczasem w domku Łowcy Mustangów niewiele się zmieniło.

Kto by zajrzał do izdebki, zagubionej w stepach, snadnie mogłoby pomyśleć, że jesteście dopiero przy początku powieści, albo za jeszcze dawniejszych czasów. Tak samo jak dawnej Feliks siedział w posrodku pokoju i tak samo przemawiał do starego psiska, a Tara patrzył mu w oczy i skomlał po cichutku.

- Pojedziemy, Tara, pojedziemy, piesku. - powtarzał stary sługa. - Widzisz, już wszystko spakowane, książeczki, skórki, fuzyjki, sobako ty jedna, chodź!

Feliks przyjechał przedtem z fortu i rzeczywiście w chacie już pusto było, a zapakowane paki świadczyły o przygotowaniach do wyjazdu z tych okolic. Stary tylko czekał na zapowiedziany powrót Maurycego.

- Tylkom jeszcze tej buteleczki nie zdążył zapakować, ale to już do przyjazdu panicza niedużo w niej zostanie... no, a potem pojedziesz za morze, daleko: nie widziałeś takich takich krajów, gdzie my będziemy jechać... Tylko, kto wie, dokąd paniczowi strzeli do głowy nas pognać?

Tu Feliks zajrzał do butelki i to, jak widać, nie po raz pierwszy.

Już od samego rana czekał na Maurycego i skracał sobie czekanie w ten prosty sposób. Wieczór już się zbliżał, ciemność zapadała, a Maurycego jak nie było, tak nie było. Bardzo się już poczynał mecierpliwić staruszek i prowadząc Tarę za obrożę, wyjrzał za palisadę. Nie widząc nikogo, udał się na pobliskie wzgórze, skąd dojrzeć można było całą okolicę. Jakoś siedząc na tym punkcie obserwacyjnym, ujrzał w oddali punkcik poruszający się w stronę rzeki Alamo. Po medługim czasie rozpoznał mustanga i szeroki płaszcz swego pana.

- Pan jedzie, pan jedzie! - powtarzał, głaszcząc slersc poczciwego Tary, ale zauważył, że się nagle sierść psa zjeżyła: Spojrzał. mu w oczy, ale jeszcze nigdy takich oczu u psa nie widział. Utkwione nieruchomo w nadbiegającym jeźdźcu wyrażały śmiertelny przestach.

Feliks podniósł głowę i rzuciwszy okiem w stronę, skąd, jak mniemał, nadjeżdżał jego pan, skoczył na równe nogi. Wydało mu się po prostu, że jego pan ma uciętą głowę.

- Matko Boża Poczajowska - zawołał głośno, czując, że trzeźwieje nagle - czyż mnie bies opętał?

Koń nadbiegł w pędzie, a Tara patrzył nań dzikimi ślepiami, rozgorzałymi nienawiścią. Targnął się i począł wyć i ujadać na przemian.

- Panno Ostrobramska, cóż to może być? - zawołał znieruchomiały Feliks w najwyższym osłupieniu i przetarł sobie oczy, aby się przekonać, że nie śni.

Ale nie! Koń nadjeżdżał, a na nim siedział jeździec w obszernym płaszczu, Głowy nie miał na ciele, lecz dźwigał ją straszną, umazaną krwią, kurczowo przyciskając ją ramieniem do piersi. Tara wyrwał się Feliksowi i rzucił się naprzód, rumak spłoszony zawrócił w miejscu i jeździec, ukryty w rozwianych fałdach płaszcza, znikł w zapadłym już zmroku.

Przerażony Feliks także gwahownie co tchu począł uciekać i wpadłszy do izby, zaryglował drzwi za sobą, począł się miotać po chacie, nie wiedząc co począć, wzywał wszystkich Świętych Pańskich, próbował się wcisnąć do piwniczki, umieszczonej pod sionkami, gdzie do niedawna przechowywały się baryłki wódki. To mu nasunęło myśl, że mogłoby zaczerpnąć otuchy w gorzałce, przypomniał sobie wreszcie, że straszliwe widziadło pomknęło w przeciwną stronę, usiadł więc na koniec na dawnym miejscu i

pełnymi kubkami począł pochłaniać ulubiony napój, dopóki znużony alkoholem i zmęczeniem nie zwałił się na podłogę jak belka i zasnął kamiennym snem.

Ale widać sprzyściły się na biednego Feliksa wszystkie nieszczęścia tego wieczoru, bo ledwie zasnął, a już by powinien się zbudzić, aby myśleć o ocaleniu swego żywota. Ale wódka i mocny sen ukryły przed nim niebezpieczeństwo prawdziwe. Ciemno już było zupełnie, gdy przed osiedlem na brzegu Alamo stanęło czterech jeźdźców; konie stąpały cichutko, kopyta bowiem miały owiązane gałganami, a sylwety nocnych gości stroszyły się strojem wspaniałych orlich piór, który z głów spływał na plecy. Tak, nie ulegało wątpliwości, to byli Komancze. Więc jednak oni! pomyśli sobie Czytelnik i przez chwilę będzie mu się zdawało, że rozwiązał zagadkę tajemniczego zniknięcia Henryka Pointdextera i Maurycego przezwiskiem Gerald. Niechże się jednak razem z nami wsłucha w przyciszony szept, jakim nastroszeni zbrojnym ryszunkiem Komancze porozumiewają się z sobą. Obeszli oni chatę dookoła i nasłuchiwali uważnie, ale żaden odgłos nie dochodził z wnętrza schroniska. Cichutko stąpając, nie tak jednak cicho jak to czynią prawdziwi Indianie, podeszli do drzwi i ze zdumieniem ujrzeli że były zaryglowane.

~ Niech go diabli porwą, zamknął się widać w domu, skoro drzwi zaparte - rzucił przez zęby jeden z Komanczów czystą hiszpańszczyzną. - Cóż my teraz zrobimy?

- Musimy się za wszelką cenę dostać do środka - Odpowiedział drugi w tym samym języku - chociażby dlatego, żeby coś sobie podjąć. Diabelnie jestem głodny po przejechaniu kilkunastu mil.

- Ten myśliwy to musi mieć ładnie zaopatrzoną spiżarnię - dodał trzeci również w języku Cervantesa. - Zajrzeć no do spiżarni, bo już mi naprawdę kiszki marsza grają.

To mówiąc, najstarszy, widać przywódca bandy Komanczów, nacisnął ramieniem na jukkowe odrzwia. Ale drzewo było mocne jak stal, ani się ugięło.

Trzeba więc było przepiłować otwór, włożyć. rękę do środka i odsunąć rygle. Na odgłos tych hałasów nikt się nie odezwał. Zanim te roboty były wykonane, już księżyc bladym światłem począł okrywać wierzchołki drzew, srebrzyć wody Alamo i równiny prerii. Noc ta, jak i poprzednia miała być cicha, świetlista i wonna. Niestety, dwie młode dusze, które wczoraj jeszcze cieszyły się tym blaskiem i wonią, dzisiaj rozłączone, i kto wie, może na zawsze? Maurycy, jeżeli nie zginął tej nocy padnie ofiarą straszliwego podejrzenia, jeżeli ukryje się w domku, który własnym trudem dźwignął nad połyskliwym nurtem pięknej rzeki, czekają nań tu nasłani zbrojcy w przebraniu Komanczów. Wchodzą oni oto do środka izby, gwałtem ją otwarłszy i znajdują na podłodze trup, nie trup, ale bezduszne na pozór ciało starego Feliksa.

- Śpi? - pyta jeden zabójca.

- Nie, to nie Maurycy - odpowiada herszt. Światło księżycy pada na jego twarz. Ależ to Miguel Diaz, tajemniczy przyjaciel Kalchuna, on to, dobrawszy sobie zacnych towarzyszy, przybył tu nareszcie, zdecydowawszy się popełnić zbrodnię, sowing ręką kuzyna Luizy opłacony skoro tylko dowiedział się, że Gerald, Łowca Mustangów, opuścił oberżę w forcie Inge i podążył do samotnego swego domostwa, gdzie krew przelana łatwo dałaby się utaić.

- Urznął się i śpi jak kłoda - dodał, trącając z pogardą wiernego sługę łowcy, zapominając, iż nie dalej jak wczoraj o tej samej porze Kalchun znalazł go ku swej wielkiej rozpacz w podobnej sytuacji.

- To służący tamtego! Widywałem go nieraz.

- Wypił, bo wypił - powiedział inny - ale i nam musiał zostawić. - I zajrzał do butelki.

- No i cóż? Musimy tu zaczekać na powrót naszego eleganta? - zapytał inny, pociągając już z butelki; Miguel Diaz, zwany stepowym Wilkiem, obmyślał zaś plan

zasadki.

- Najlepiej, jak tylko zobaczymy, że się zbliża, zaczaimy się nań pod wielkim cyprysem - powiedział do towarzyszy. - Ty Barracho, za to, żeś bez pozwolenia i pierwszy zajrzał do tej butelczyny, wynoś mi się na wzgórze i patrz, czy nie nadjeżdża ten smarkacz któremu się zachciało jabłuszek z ogrodu Casa del Corvo. Gdy dasz nam znać, że nadjeżdża, ukryjemy się w cieniu drzew i... - tu gest dopełnił mowy zbrodniarza.

Barracho niechętnie usłuchał rozkazu, bo wiedział, że w takich razach nie ma żartów ze Stepowym Wilkiem. Pozostali zaś podzielili się zapasami ze spiżarni młodego Polaka, wydudlili resztę z butelki wreszcie dla skrócenia sobie czasu wydobyli zatłuszczone karty i na jednej ze skrzynek poczęli walić w montę.

Ciągnęło się to dosyć długo; w pewnej chwili Feliks otworzył oczy i ujrzał przed sobą w niepewnym świetle ogarka nieproszonych gości.

Z początku wydawało mu się, że śpi, przetarł oczy, a gdy widziadło nie zniknęło, począł krzyczeć, przeplatając polskie modlitwy hiszpańskimi wykrzyknikami i brytyjskimi przekleństwami.

- Matko Najświętsza, Pani Jasnogórska, Carramba, Corpo de dios, co za straszliwe diabły czerwone. Goddam... Panie, przyjmij w ręce Twoje ducha mego...

Ostatni wykrzyknik miał rację bytu, gdyż na wrzask Feliksa trzech rozbójnicy porwali się z miejsca i stanęli naokoło starego ze sztyletami w ręku. Kto wie, czym by się skończyła ta przykra scena, lecz w tej chwili na progu ukazał się Barracho, dając ręką umówiony sygnał.

Fałszywi Komancze zostawili strapionego w straszny sposób sługę i pobiegli chyłkiem na palisadę, ukrywając się w cieniu grupy drzew, która stała opodal. Jakoż niebawem dały się słyszeć stapania końskich kopyt. Jeździec jechał wolno, widać rozmarzony ciepłą miesięczną nocą nie śpieszył się do ciasnej izby. Sylwetka jeźdźca zniknęła w cieniu drzew.

- Stój, poddaj się! - wrzasnął Stepowy Wilk, wyskakując z zarośli.

Ale jeździec nie odezwał się i nie poruszył. Rozbójnicy rzucili się ku niemu i schwycili konia za uzdę, ale spłoszone zwierzę gwałtownie stanęło dęba, wyrwało się z rąk napadających i rzuciło się, sadząc szczupakami, ku oświetlonym księżycowym blaskiem preriom.

Komancze rzucili się za nim. Ale, gdy jeździec wynurzył się z cienia drzew, okrzyk przerażenia wyrwał się z ust Miguela Diaza i jego towarzyszy.

Ze zjeżonymi włosami na głowie i potem chłodnym oblani dopadli ukrytych opodal wierzchowców i jak opętani, okładając je biczami, pomknęli w powrotną drogę, kierując się ku fortowi Igne.

X. Serce kobiece

Miguel Diaz, zwany Stepowym Wilkiem, nie był jednak tchórzem z natury. Niegdyś był jednym z pierwszych myśliwych na preriach i potykał się zarówno z dzikim zwierzem, jak i z dzikszymi jeszcze Indianami. Po pewnym czasie zatrzymał się i chciał zawrócić. Ale jego zabobonni towarzysze słysząc o tym nie chcieli, żegnali się wciąż i przysięgali, że noga ich więcej nad rzeką Alamo nie postanie.

- Jedźcie więc sobie za złamanie karku - zawołał Diaz - a ja zawrócę! - Współtrójbójnicy jego zacięli konie, ale Miguel nie wykonał swojego zamiaru. Pojechał ich śladem, stępa. Rozglądał się po księżycowych preriach i patrzył na błękitny firmament. Noc ta przypominała mu niedawną, a takie już dalekie teraz lata. Kasjusz Kalchun w poszukiwaniu równego sobie a mężniejszego w zemście wroga Maurycego Geralda nie darmo zwrócił się do Stepowego Wilka. Miał on z Maurycem dawne porachunki i przysięgł mu śmierć nie od dzisiaj. Obaj niegdyś spotykali się w lasach i zaprzyjaźnili się po trosze; kto wie, może by ta przyjaźń złączyła ich na dłużej, gdyby na drodze ich nie stanęła kobieta. Pewnej nocy do chaty skleconej z bierwion, pierwotnie zbudowanej na źródłach Leony, gdzie zamieszkiwali podówczas wspólnie, okrwawiony Maurycy przydźwigał ciało na pół zmarłej kobiety. Piękność jej oczarowała na całe życie naiwne serce Stepowego Wilka. Było to w dzień, kiedy mężny Polak stawiał sam jeden czoło silnemu oddziałowi Indian i z rąk ich wyrwał z życiem nadobną Izadorę de los Lianos.

Zjawienie się tej kobiety kres położyło przyjaźni dwóch młodzieńców i miało fatalny wpływ na przebieg życia Miguela. Zawiedziony haniebnie w swych nadziejach, staczał się coraz niżej, patrząc na rosnące wciąż uczucie Izadory do pięknego przybysza z Europy. Obstawiał ją swymi szpiegami, znał każdy krok jej, czyn każdy, niemal każde słowo, ale wszystko tylko potwierdzało beznadziejność jego sytuacji.

Przekupieni słudzy donosili mu, że Izadora żyć po prostu nie może bez Geralda, wszystkie jej myśli biegną ku niemu i serce jej ciągle jeszcze krwawi, tak samo odtrącone przez Maurycego, jak Izadora odtrąciła Diaza. Jedyna to była pociecha w smutnym stanie ducha.

Jak dziś pamięta ową noc, tak samo księżycową, kiedy odwoził ocaloną i ozdrowiałą Izadorę znad źródeł Leony do wuja Sylvio. Mieli się na ostrożności i przemykali się cichaczem. Droga prowadziła przez rzadkie lasy, a spomiędzy czerwonych pni widniały niebieskie przestrzenie prerii; step pachniał, było to w początkach lata. Podczas krótkiego postoju rzucił się do stóp Izadory, błagał ją o o~drobinę miłości, ale dumna Kreolka nie chciała słyszeć o niczym. Z jej urywanych zdań domyślił się, że pokochała Maurycego i cierń straszliwej zazdrości przebił mu serce, aby już krwawiło na zawsze. Wreszcie Izadora odtrąciła go brutalnie i uderzyła trzymanym w rękę batem. Poprzysięgł zemstę tym dwojgu chociaż miłość niewygasła doprowadzała go do szaleństwa.

Odtąd nie widziano go na polowaniach. W preriach i puszczech okolicznych, natomiast częstokroć spotykano go w traktierniach i tawernach; grał w karty aby opłacać licznych szpiegów, potrzebował pieniędzy, rzucał się na niepewne ineresy; wreszcie począł zdobywać potrzebne środki w sposób nie znany. bliżej nikomu, procz może tych osobników, których niedawno widzieliśmy przebranych za Komanczów w domku Maurycego Geralda.

I teraz, gdy tylko przebył step dzielący go od zakrętu Leony, gdzie widniały piramidalne spiętrzenia fortu, ledwie złożył głowę do poduszki, zbudziło go przyjście służącego, który w swoim czasie, jak nam wiadomo, przynosił tajemnicze koszycki z

przysmakami do oberży Oldufferry'ego, gdy Maurycy leżał tam ranny śmiertelnie.

- Jesteście znowu tutaj? - zapytał, otwierając oczy i budząc się z przytomnością umysłu, właściwą ludziom, którzy są zawsze na ostrożności. - Izadora znowu jest u wuja.

- Zdaje się, że nie mogła bawić z dala od swojego bogdanka powiedział służący - po całych dniach gonila za antylopami i w ciągu tygodnia zajeżdżała dwa konie. Przyjechała do wuja i wysłała mnie z listem do gospody. Nie wiedziała, że zastamę tutaj ten cały bal. Tę hecę!

- Jaki bal? Jaka heca?

- No ta cała awantura z Maurycym.

Okazało się, że Miguel, który wyjechał wczoraj przed świtem w drogę do Alamo, nie wiedział nic o całym zdarzeniu, które wzburzyło umysły mieszkańców fortu. Aż usiadł na łóżku, gdy mu Jose, stary sługa, który się dał pojmać na dolary Diaza, począł opowiadać.

- Ani chybi - mówił Jose - to Maurycy musiał zadławić tamtego żóhodzioba. Komendant twierdzi nie chce temu wierzyć i pod pretekstem, że sam musiał ruszyć na wschód na pomoc okolicom, które pustoszą zawzięcie Indianie, nie chciał dać ani żołnierza na wyprawę do chaty Maurycego. Sam stary Woodley Pointdexter zebrał wraz ze swym siostrzeńcem młodzież z okolicznych ferm i mieli dziś ruszyć o świcie na poszukiwania. Nikt nie zna drogi do tej osady...

- Daj im Boże szczęście - powiedział Miguel Diaz - ale coś mi się wydaje, że oni znajdą nie to, co potrzeba. Szkoda, żeśmy ich wczoraj nie ubiegli - syknął przez zęby do siebie - a tak całą gromadą gotowi nam spłoszyć ptaszka!

- Miss Izadora nie przeczuwa, jakie niebezpieczeństwo czyha na jej Maurycego - powiedział Jose, podając wonny liścik Izadory.

- Będiesz, będziesz miał, stary szelmo - szepnął zaspany Diaz.

- Dawaj tutaj!

Rozpieczętował lakową pieczętkę i czytał, co następuj~:

"Do seniora Don Maurice'a Geradda.

Drogi Panie! Znów jestem u mego wuja Sylvio Pereza, nie mogę bowiem żyć bez wiadomości o Panu. Niepewność i brak tych wiadomości zabija mnie. Niech mi Pan coś powie o swym zdrowiu.

Tak bym pragnęła spojrzeć w oczy Pana, aby się przekonać, że jest Pan zdrow zupełnie. Proszę mi nie odmówić tej łaski, jedynej, o którą błagam. O jedenastej będę czekała na wzgórzu za domem wuja, gdzie rosną akacje. Niech Pan przyjdzie na pewno!

Izadora Cavarubio de los Lianos".

- Niech diabli porwą! - zawołał rozwścieczonym głosem Miguel Diaz.

- Ona wyznacza mu schadzke. Dobrze, powiedz pani, że oddałeś list w oberży. Zobaczymy, kogo piękna Izadora spotka o wyznaczonej godzinie pod pachnącymi akacjami i czy będzie z tego zadowolona.

Dziękuję ci, Jose, masz tu dolara.

A że było już późno, Miguel zerwał się z łóżka i począł się ubierać.

Tymczasem zrozbaczona Luiza błąkała się po opuszczonym domu i tysiąc sprzecznych uczuć walczyło w jej sercu. Żal za ukochanym

bratem, lęk przed niewiadomą przyszłością, straszliwe podejrzenia, jakimi obciążono Maurycego - i strach, że go może niebawem w okrutny sposób stracić - wszystko to sprawiało, że odchodziła od zmysłów. Młodzież okoliczna, odjeżdżając na poszukiwania domu Polaka, wydawała się bardzo wzburzona i wraz z Kasjuszem była za sądem Lyncha i natychmiastowym powieszeniem "zbrodniarza". To ohydne miano, którym obdarzono szlachetnego Geralda, uderzało jak sztylet w zbolące serce Luizy. Miała tylko sił tyle, aby szepnąć ojcu parę słów, że wierzy w bezwzględna niewinność Łowcy Mustangów. A jednak ani słówkiem nie wydała, że wie nie tylko, jak posądzony spędził ostatnią noc w

tej okolicy, ale że również zna dokładnie położenie domku nad Alamo, z którym związało ją wspomnienie wycieczki, pikniku i spojrzeń pięknego Geralda.

Jeden tylko człowiek mógł jej coś poradzić w tej biedzie. Na próżno wczoraj dzień cały rozsyłała gońców w poszukiwaniu Zabulona. Stary S tam p przepadł bez wieści. Dziś też, zaledwie wyjechała kawalkada z jej ojcem na czele, pognąła Murzynów we wszystkie okoliczne lasy. Sama zaś z tarasu schodziła do jadalni, z jadalni do swego cieniściego pokoju, zaglądała do pokoju Henryka, łóżko stało, jak je porzucił młodzieniec, ściągnięty przez Kasjusza do ogrodu, łązy przysłoniły jej ten widok, a przecucie, że już nigdy nie zobaczy brata, ścisnęło jej zbolące serce.

Tymczasem Stamp najspokojniej polował w okolicznych zaroślach mimozy i ubiwszy sporo ptactwa, stanął w godzinę po wyjeździe Pointdextera przed Casa del Corvo. Zamknięta brama, zapuszczone żaluzje zdziwiły go i zaniepokoiły zarazem.

Gdy po długim kołataniu otworzył mu nareszcie rozczochrany Pluton, zapytał go z niepokojem:

- Co się stało, Plutonie? Dlaczego zamknęliście bramę za dnia?

- A bo nikogo nie ma w domu - odpowiedział Pluton.

- Jak to? Czy może miss Luizę spotkało jakie nieszczęście?

- Niech Pan Bóg broni! Tego by jeszcze brakowało - zawołał prawdziwie przejęty Pluton. - Niech pan wejdzie, panie Stamp, panienska wszystko panu powie.

- A czy pan Pointdexter jest także?

- Mówię panu, nikogo nie ma w domu. Wyjechali przed godziną.

- Dokąd? Po co? Z kim?

- Z panem Kasjuszem i z mnóstwem innych plantatorów z sąsiedztwa.

- Cóż to za wyprawa? I Henryk pojechał?..

- O, mister Stamp - westchnął Pluton - pana Henryka to nie ma już w domu od wczoraj rana, i lękam się, że go już nigdy nie ujrzymy.

- Pleciesz głupstwa! - zawołał gwahownie zaniepokojony strzelec. - Weź to ptactwo do kuchni, a ja poszukam miss Luizy.

- Jestem tutaj, drogi mister Zeb - zawołała Luiza z werandy, na której niedawno tak wesola częstowała starego Stampa xeresem, pragnąc jak najprędzej dowiedzieć się czegoś o młodym Łowcy Mustangów. Dziś zastał ją pocziwy przyjaciel w zaniedbanym ubiorze, bladą i ze łzami w oczach.

- Miss Luizo! Co się stało? - zawołał zaniepokojony staruszek - nie chcę pani sprawiać przykrości poruszaniem świeżych ran, ale na miłość boską, niech mi pani powie, co to wszystko znaczy.

Biedny starzec nie wiedział, jaki cios gotuje dlań opowiadanie Luizy, był szczerze przywiązany do Maurycego i uważał go za najlepszego swego przyjaciela. Ogromnie poruszyło go i oburzyło do głębi podejrzenie, jakim obciążono młodego łowcę. Luiza opowiedziała Zabulonowi całą sprawę, pominęła jednak historię spotkania w ogrodzie i sprzeczki, jaka wynikła pomiędzy dwoma młodzieńcami.

- Kłamstwo, kłamstwo! śmieszne rzeczy! Nie może być inaczej - powiedział Zabulon, zaciskając ręce - nie mógł on popełnić skrytośćwa. Sam byłem świadkiem, jak zawsze serdecznie wyrażał się o bracie pani. Chyba wynikło między nimi jakie nieporozumienie...

- O nie - zawołała Luiza - oni się pogodzili od razu.

- Jak to? Więc zaszło coś między nimi? Miss Luizo, niech pani niczego nie ukrywa przede mną. Od tych szczegółów być może zależy życie Maurycego. - Przy czym badawczo spojrzął w oczy swojej młodej przyjaciółce.

- Mister Stamp - zawołała Luiza i rumieniec wystąpił na jej

matowoblade oblicze - wierzę, że jesteś naszym przyjacielem. Ale to, co ci wyznam,

może okropnie obciążyć podejrzenia, jakie spadają na mojego narzeczonego...

Zeb spojrział na nią ze zdziwieniem, ale po raz pierwszy dzisiejszego ranka uśmiech zajaśniał na jego cienkich wargach. Luiza rozplakała się na dobre, a gdy się nieco uspokoiła, poczęła opowiadać strzelcowi pominięte szczegóły księżycowej nocy.

- Miss Ludwiko - powiedział na to poważnie Zeb Stamp, biorąc ją za rękę, przy czym dłoń młodej dziewczyny, podobna do białego gołąbka, utonęła w olbrzymiej ręce trapera - miss Ludwiko, nie dziwię się, że oddałaś swe serce Łowcy Mustangów. Od dawna marzyłem o tem, aby was połączyły nieba, zacy to chłopak i znacznie wyższej kondycji, niż to się wszystkim zdaje. Skoro się zdecydował odpłynąć do Europy, to sądzę, że się pogodzi ze swoją rodziną i kto wie, w jakiej nam tutaj powróci postaci! Tym bardziej wierzę, że nie mógł on brać udziału w zabójstwie Henryka. Być może nawet Henryk nie jest zabity, bo okrwawione siodło nie jest żadnym dowodem. No, ale cóż mówi sam Gerald?

- Niestety - zawołała Luiza - jego też nie mogą znaleźć. Może także jest zabity!

Zabulon Stamp skoczył na równe nogi.

- W takim razie nie ma ani chwili do stracenia! Miss Luizo, proszę mi kazać dać konia. Niech mnie pani odprowadzi kawałek; rozerwie się pani i w drodze pogadamy. Skoro on także zniknął, to sprawa poczyną się wikłać.

W pięć minut potem galopowali w kierunku prerii.

- Oczywiście, wyprawa pani ojca udała się obecnie do domku Maurycego?

- Ba - odparła panna, zdyszana w galopie - ale nikt nie zna drogi.

- Jak to, a pani im jej nie wskazała?

- Żartujesz, przyjacielu? - zawołała zarumieniona Luiza. Aby rzucić na siebie niesłuszne podejrzenie, a może przyspieszyć jego zgubę? Nie powiedziałam ani słowa.

- Stary ze mnie idiota, smleszne rzeczy - warknął Zabulon Stamp, przechodząc na kłusa. - No to tym bardziej zdąży się ich uprzedzić.

- Niech pan śpieszy, niech pan śpieszy, panie Stamp - wołała Luiza, pozostając w tyle - oni go tam mogą zlinczować. Kuzyn Kasjusz podburza ich przeciw niemu. Rozumiesz, dlaczego to czyni!

Stary Stamp odwrócił się ku niej i z uśmiechem skinął kapeluszem.

Z młodzieńczego gestu, z uśmiechu, jakim ją pożegnał poczciwy przyjaciel, powiała na nią otucha. Toteż z lżejszym sercem zawróciła konia.

Przed nią widniała dolina Leony, po lewej stronie fort wznosił się piramidalnie, strojny na szczycie gwiazdzistym sztandarem. W słońcu upalnego poranka błyszczało złotem i weselem.

- Boże, jaki cudny jest Twój świat - westchnęła Luiza - a ludzie plamią go krwią i grzechami! - Uciekła myślą do szczęśliwych, choć nielicznych chwil, które spędziła przy boku ukochanego. Pragnąc odnowić wspomnienie, skierowała kroki swego pstrokatego wierzchowca ku wzgórzom, na którym rosły akacje, niedawno jeszcze tak wonne, teraz już okwitające. Tam przywiązała konia do drzewa i patrząc ku dolinie pełnej blasków i barw, zamyśliła się nad losami ludzkimi, które składają się z fal mieniących się przeciwnymi barwami, niosących to chwile radości, to godziny smutkiem nabrzmiałe.

Tymczasem z drugiej strony na t9 samo wzgórze wspinała się na swym wierzchowcu Izadora Cavarubio w zielonej amazonce. Oczy jej błyszczały nadzieją szczęścia, pierś wznosiła się, kołysana szybkim oddechem. Ujrzała jeźdźca przybywającego od strony fortu i, ukrywając się w gąszczu, czekała, aż nadjedzie. Jakoż przybył niebawem; wyskoczyła z ukrycia ku niemu, ale jakież było jej zdziwienie i przerażenie, gdy zamiast Maurycego poznała w nim Miguela Diaza, zwanego Stepowym Wilkiem.

Ten zaś skłonił się jej z przesadną uprzejmością i głosem mrozącym krew w żyłach powiedział:

- Witam panią!

- Skąd się tu wzięłaś, łotrze? - z wściekłością wykrztusiła Iza~ dora.

- Oczywiście - ciągnął, nie zwracając uwagi na obelgę Diaz - wolałabyś tu widzieć kogo innego, ale ten ktoś będzie wkrótce dyndał na stryczku, a ja się tymczasem rozmówię z tobą w cztery oczy. Od dawna już nie miałem lepszej sposobności...

- Niech pan mnie zostawi samą! Natychmiast! - opanowując się, rzuciła piękna Izadora, odgarniając zwisające na czole loki.

- Pani się lęka? I słusznie! - dodał ściszym głosem don Miguel, nacierając swym rumakiem na jej konia tak, że twarzą stanął przeciw jej twarzy - jedyna to okazja, a nie ma się pani co oglądać na boki. Maurycy nie przybędzie! - To mówiąc, wy dobył list pisany przez Izadorę i błysnął jej nim w oczy. - Dla pani już nigdy nie przybędzie! Słuchaj, Izadoro - zawołał nagle z namiętnością zgubiłaś mnie, starłaś z oblicza ziemi, przestałem istnieć jako człowiek. Ale wreszcie mam cię w swojej mocy: wybieraj albo śmierć natychmiastową, albo przysięgę, że nigdy nie zobaczysz już Maurycego. - Pan oszalał - rzuciła już zimnym głosem Izadora, która poczęła zdawać sobie sprawę, że życie jej zależy tylko od przytomności umysłu.

- Tak, oszalałem, i to od dawna - cisnął przez zęby Miguel Diaz i nagłym ruchem wyciągnął sztylet z zanadru. - Wybieraj! ... - zawołał strasznym głosem. - śmierć albo życie - i podniósł do góry śmiertciony oręż.

Ale Izadora zręcznie uskoczyła; oczy jej miały iskry wściekłości.

- Precz, wstrętny napastniku! - krzyknęła głośno i schyliwszy się, błyskawicznie rozwinęła swoje lasso.

Zanim Miguel mógł się zorientować, sznur gwizdnął w powietrzu i oplątując mu szyję i ramiona, wybił nóż z ręki i wytrącił go z siodła. W mgnieniu oka leżał na ziemi kompletnie nieruchomy.

- Niegodziwcze! - zawołała Izadora, pochylając się z konia nad pobladłym zabójcą - leż teraz tak, aż cię jaka miłosierna dusza z więzÓw uwolni. Bodajbyś tak leżał aż do końca świata!

To powiedziawszy, obrzuciła wzrokiem jego twarz, jakby czekała jakich słów. Ale Diaz leżał z przymkniętymi oczyma, a bladość wściekłości ścięła jego piękne niegdyś rysy. Izadora odcięła lasso ostrym nożem od siodła, przy którym było przytroczone, i odjechała w swoją stronę. Nieszczęsna, czemuż nie skróciła na swoją biedę grzesznego żywota straszliwego oprawcy! Nie przewidywała, że zgubi tym swe młode życie!

Luiza od dłuższego czasu słyszała w pobliżu ostre głosy, które swym tonem przerywały jej marzenia o akacyjowej woni. Skoczyła czym prędzej na rumaka i nasłuchiwała pilnie. Ale po chwili dobiegł ją oddalający się tętent i cisza zapanowała wokoło. Gdy żaden odgłos nie dochodził już jej uszu, poszła na tamtą stronę. Oczom jej otworzył się widok zdumiewający. Oto u stóp drzewa na polanie leżał człowiek w stroju jeźdźca meksykańskiego, związany grubym sznurem. Niewiele myśląc, zeskoczyła z konia i poczęła rozplątywać więzy wiążące nieszczęśliwego, jak się naiwnym oczom wydawało, człowieka. Westchnął i otworzył oczy.

- Kim jesteś, senorita? A tamta gdzie?

- Jestem tu sama, tamta odjechała.

- Widziałaś ją?

- Nie, ale słyszałam głos kobiecy.

- Niech pani powie raczej głos diablicy. Izadora Cavarubio to diablica wcielona.

- To ona tutaj była? - zapytała Luiza, a serce jej ścisnął niepokój.

- Tak, ona, ta z piekła rodem kobieta. Dziękuję pani, sefiorita, że się nie udusiłem - dodał, uwalniając się z więzów - póki życia pamiętać będę tę przysługę. Niechże mi jeszcze pani pomoże wejść na konia.

Luiza z trudnością wsadziła potłuczonego Diaza na pasącego się opodal rumaka, sama zaś, unikając podziękowań, wróciła do swego mustanga, gdy wzrok jej padł na kartkę białego papieru, leżącą na środku polany.

- Hej, kawalerze, zgubił pan coś - zwróciła się za odjeżdżającym, ale ten galopował już w oddali otoczony obłokiem żóhawego kurzu.

Luiza spojrzała na trzymany papier i dojrzała w adresie ukochane nazwisko. Był to bowiem list Izadory, wzywający Maurycego na schadzkę. Struchlała.

- Więc ta z piekła rodem kobieta widuje się z Geraldem - powiedziała na pół głośno Luiza, gdy ręce jej opadły, mnąc odczytany list. - O Boże! Jeszcze i to nieszczęście! - zawołała znowu, czując po chwilowym uspokojeniu wszystkie noże boleści, wbijające się w jej serce.

Przepływając rzekę w powrotnej drodze, bliska była szaleństwa, w sercu jej rosła rozpacz straszniejsza nad wszystko, a czując ciężar zbliżających się dni, chętnie byłaby się rzuciła w zdradzieckie nurty Leony. Ale w sercu jej tlił się jeszcze płomyk wiary i nadziei. Padła więc w swoim pokoju na kolana przed obrazem Madonny i w gorących łzach i modlitwie kornej szukała ukojenia dla swego skołatanego serduszka.

XI. Czarne jastrzębie i szare wilki

Gdyby zacny wywiadowca, który towarzyszył komendantowi i Woodleyowi Pointdexterowi w jego pierwszej wyprawie, oderwawszy oczy od śladu mustangów, spojrzął był choć raz w górę, zwłaszcza nie wchodząc do lasu, być może rozwiązałby całą sprawę, ale wtedy nie mielibyśmy tej opowieści, czym niejeden czytelnik może by się martwić.

A nad lasem w pewnej, ale nieznaczonej odległości od kałuży krwi, którą badał komendant wraz z wywiadowcą, wznosiła się chmura ptactwa. Stały one nieruchomo w powietrzu, od czasu do czasu jedynie obniżając lot, muskały prawie wierzchołki olbrzymich drzew, u których stóp spoczywał jak nieżywy piękny młodzieniec. Rysy jego ściągnięte były cierpieniem, a bladość pokrywała twarz. Nieprzytomnym wzrokiem spoglądał ku niebu, na którym krążyła skrzydlata chmura. Ptaki czuły tutaj rychłą widać zdobycz i cień ich skrzydeł cieniem śmierci się stawał na obliczu rannego.

Parę godzin przeleżał tak młody chłopiec, a ptaki, coraz opadając, opuściły swój lot tak nisko, iż dotykały w przelocie bladej jego twarzy, a ciąg wielkich skrzydeł rozrzucał mu na głowie falujące włosy.

Nagle ptactwo porwało się z krzykiem ku górze, stado uniosło się wysoko, ale nie odlatywało. Pałącym okiem jastrzębie poglądały ku umierającemu, jak im się zdawało, człowiekowi. Spłoszył on je swoim ruchem.

Oczy jego od pewnego czasu nabrały przytomnego wyrazu, a teraz poruszył się, usiłując przewrócić się na bok. Uniósł się całym ciężarem ciała, wsparł na łokciu. Rozejrzał się dokoła mętłym wzrokiem.

Nie wiedział bowiem, czy śni jeszcze, czy przeżywa to wszystko na jawie. Ujrzał, że jest na ścieżce, próbował więc czołgać się dalej.

Ale czuł straszliwy ból nogi. To go przywołało ostatecznie do przytomności. Przypomniawszy sobie, jakim sposobem znalazł się w lesie, a cienie drzew wskazały, ile już godzin tu przebywał. Kolano, którym, spadając, mocno się uderzył o pień, spuchło mu jak kłoda i nie mógł zgiąć nogi. Gdyby nawet miał konia, nie potrafiłby go dosięść. Powoli uprzytomnił sobie całą swoją sytuację i zrozumiał, że nie ma dlań ratunku.

- Czemuż od razu nie zginąłem? - myślał sobie, próbując się czołgać po ścieżce. - A teraz, ileż mnie jeszcze czeka męczarni.

Słońce, przebijając zza liści drzew, poczęło niemiłosiernie go parzyć. Ale pieszczota słońca wydała się pociechą zbolełemu ciału. Wiedział, że nie ma dlań ratunku. Jeżeli nie umrze z głodu i wyczerpania, to stanie się łupem dzikich zwierząt. Zdawał sobie sprawę z tego, iż znajdował się na ścieżce do wodopoju. Z nastaniem nocy, a nawet w dzień nieraz zwierzęta z całej puszczy przebiegały tędy. Musi więc zginąć.

- I to właśnie w takiej chwili! - pomyślał z goryczą.

Próbował wołać, ale głos jego głużyły gaścze drzew. Upłynęło tak ze dwie godziny na rozpaczliwym wyczekiwaniu pomocy skądkolwiek. Wreszcie myśl o wodzie, nie dająca spokoju młodzieńcowi, przemogła utratę siły. Wspierając się obiema rękoma, począł pełzać ku stronie, gdzie miał nadzieję znaleźć upragnione poisko.

Czarne jastrzębie nad drzewami, przeczuwając, że człowiek, na którego czyhały, padnie wkrótce wyczerpany śmiertelnie, wzniosły się nad nim złowieszczą chmurą, a gdy się zatrzymywał, zatrzymywały się również, przelatując bezszelestnym rozmachem skrzydeł z drzewa na drzewo, obniżając się coraz bardziej ku głowie rannego.

W poszukiwaniu ratunku oglądał się on dokoła. Nagle spostrzegł rozdwojoną gałąź dębu, i zbawienna myśl przysłała mu do głowy. Myśliwskim nożem, który zawsze miał

przy sobie, ściał gałąź, która mu się nawinęła, i wspierając się na niej jak na kuli, prędzej już posuwał się naprzód. Po chwili już przypadł do źródła i mógł pokrzepić Żywicielską wodą nadwątlone siły. Dobroczynny napój orzeźwił go zupełnie, ale, niestety, nie był cudowną wodą z bajki, która mogła leczyć rany. Ból w nodze i potłuczone ramię dokuczają mu coraz bardziej, a kolano, pomimo mokrych okładów, które sobie sporządził, bolało go coraz bardziej. Zanim się Maurycy - on to był bowiem oczywiście - doczołgał do strumienia, cienie drzew przedłużyły się i świeższy powiew świadczył, że wieczór już bliski. Zapach więdnących akacji dolatywał aż tutaj i rozmarzał coraz bardziej zgorączkowaną głowę biednego chłopca. W półśnie, w półmarzeniu widział akacjowy las, widział osobę, siedzącą na kawowym mustangu, nakrapianym w białe gwiazdki. Zdawało mu się, że słyszy melodyjny głosik Luizy, a potem ujrzał na wysokim brzegu Leon y zamek, który w niczym nie przypominał hiszpańskiej budowy Casa del Corvo. Boć to i nie nurt Leon y srebrzysty śnił się biednemu chłopcu. Fala podolskiego Dniestru poczęła mu we śnie obmywać zbolące ciało, a nad nią twarz wspaniała wuja, który zhańbił rodzinę strachem o olbrzymi majątek.

- Wuju, mój drogi wuju, jak mogłeś to uczynić? - zawołał Maurycy i obudził się gwałtownie. Jasna tarcza miesiąca świeciła mu prosto w twarz spomiędzy czarnych liści, światło zmieniło w czarnoksiężski obraz podszycie puszczy, w którą się zagłębił. Lękając się napadu dzikich zwierząt, odsunął się był od czystego jeziora i wybrał najgęstsze miejsce na wypoczynek. Zarośle liści w świetle nocnym wydawało się rzadsze i jakby srebrem podbite; przestrzeń między pniami i prętami krzaków wypełniła jak gdyby srebrzysta woda: była to poświata miesięczna. Gorączka, która mu rozżarzyła skronie, czyniła świat ten jeszcze bardziej nieprawdopodobny. Myślał, że mogłaby się w tej mgłę ukazać nagle Lulza w swych białych i przejrzystych muślinach. Zerwał gałązkę z bliskiego krzaka, myśląc, że zrywa kwiaty dla pięknej miss Pointdexter. Ale wilgoć łodygi otrzeźwiła go szybko.

Posłyszał niedaleko przytłumione wycie i jakieś szelesty pomiędzy srebrnymi gałęziami krzewów; świadczyły o tym, że nie był sam. Czuł że się dokoła niego zamyka jakieś koło, ale nie mógł sobie uprzytomnić, co by to mogło być. Nagle cień przemknął przez srebrzystą mgłę. Poznał: były to wilki.

Zwęszyły go w tym ukryciu i zacieśniły wokoło niego koło. Przezornie oparł się był o szeroki pień olbrzymiego drzewa. Przed sobą miał zarośla. Po chwili już widział wyraźnie, jak zwierzęta te posuwały się jak na komendę i siadały znowu, przebiegłszy parę kroków, zwężając coraz bardziej śmiertelny pierścień. Świt widać był już bliski, bo różowe smugi kładły się, przejrzyste, jasne i nieuchwytnie, na mgłę.

Gdybym mógł dotrzeć do rana - myślał Łowca Mustangów byłbym ocalony. Jeszcze niedawno nic mi nie zależało na życiu. Ale dziś... - westchnął głośno i wyciągnął z zanadrza nóż myśliwski.

Wilki po chwili były tak blisko, że czuł ich cuchnący oddech. Nie czekając ataku z ich strony, cisnął w kupę gałąź dębową, którą miał przy sobie. Zwierzęta ogromnie się zdziwiły, gdyż zapewne brały Geralda za trupa, i odstąpiły nieco. Ale nie na długo. Po chwili znowu się zbliżyły, wreszcie rzuciły się hurmem na okaleczonego chłopca.

Lecz ten nie tracił odwagi, wiedział, dla kogo ma bronić życia. Zacisnąwszy nóż w garści, ciął nim na prawo i na lewo, aż go całego zbryzgała czarna posoka potworów. Wilki, zrażone tak dzielną obroną, odstąpiły znowu nieco, dwóch braci zostawiając na pobojuwisku.

Maurycy czuł, że go siły opuszczają. Nóż mu o mało się był z rąk nie wysliznął. Wiedział, że mimo rozpaczliwego oporu jest już zgubiony. Skądże miał czekać ocalenia? Któż jeszcze mógł go obronić? Wilki rzuciły się na nowo, a razy zadawane słabnącą ręką Łowcy Mustangów rozdrażniały tylko zwierzęta. Maurycy powtarzał w myśli:

- Byle prędzej! Byle prędzej skończyć!

Gdy wtem nagle rozległ się tętent koński, wilki nastroszyły sierść i zatrzymały się strwożone. Młodzieniec wydał radosny okrzyk.

- Na pomoc - wołał ranny Maurycy, atakowany przez wilki na pomoc! Ratujcie na miłość boską!

Ale widać jeździec obojętny był na wołanie nieszczęśliwego człowieka, gdyż tupot konia zbliżył się i oddalił powoli i nikt nie przybył z pomocą. Wilki zabierały się do ostatecznego ataku. Z serca Maurycego ostatnia uciekła nadzieja.

Nagle ni stąd, ni zowąd, jak gdyby wyrósł z ziemi, wyskoczył ogromny pies, wpadł znieca na zgraję szarych bestii, schwytał jedną z nich za gardło, drugą macnął przednio kłami w bok, aż zaskowyczała z bólu, i ujadając, przypadł do rąk Maurycego, oblizując je z krwi z zapalem. W świetle wstającego dnia poznał młody Polak wiernego psa.

- Tara! - zawołał - pocziwy drogi piesku, ocalasz mi życie!

I objąwszy pocziwe zwierzę za szyję, zemdlął po raz wtóry.

Gdyby starczyło mu jeszcze sił, aby mógł rozchylić otaczające gałęzie i wyrzeć na ścieżkę, ujrzałby zgrozą przejmujący widok. Oto z zarośli wynurzył się jeździec, który nie chciał odpowiedzieć na wołania zagrożonego straszną śmiercią człowieka, i skierował konia do strumienia. Koń wszedł do wody, zaspokoił pragnienie, przeszedł w bród na drugą stronę i zniknął w gąszczach leśnych. Był to jeździec bez głowy.

Tymczasem Tara, który już widać dość miał towarzyszenia strasznemu widziadłu, oparł się o zemdlonego pana i drzemał lekko, ale tak, że ilekroć posłyszał jakiś podejrzan szept, oglądał się w tę stronę i warczał z cicha. Czasami zaś unosił głowę ku górze, gdzie się gromadziły wciąż jeszcze jastrzębie, i z szerokiej jego piersi wydobywał się pogardliwy pomruk. Tara pilnował swego pana.

XII. Zawikłana sytuacja

Zaniepokojony losem przyjaciela Zabulon Stamp na świetnym komu, pożyczonym przez Luizę, w prędkim czasie przebył kawał drogi, dzielący osadę od mieszkania Łowcy Mustangów. Jakaż była jego rozpacz, gdy w chacie, której drzwi były przepiłowane, odnalazł tylko śpiącego snem kamiennym Feliksa. Obok niego leżały puste butelki, najlepszy środek na uspokojenie nerwów, podnieconych niebywale nocnymi przygodami. Ani Maurycego, ani psa nie było w chacie. Wściekły Stamp, niewiele myśląc, począł oblewać starego sługę strugami zimnej wody, co wreszcie przyprowadziło go do przytomności.

Zerwał się na równe nogi.

- Ach, mister Stamp - zawołał swoją łamaną angielszczyzną - nie ma, nie ma Maurycego. Od dwóch dni, miał wrócić i nie ma go. A tymczasem step i ta chata zaludniły się upiorami. Chwała Bogu, że choć pan jesteś tutaj! Na wszelki wypadek będzie tu nas dwóch, a pan to starczy za dwudziestu.

Tu począł z najdrobniejszymi szczegółami opowiadać dzieje dzisiejszej nocy. Opowiadanie to mocno zaniepokoiło starego trapera. Historia o jeźdźcu bez głowy przeraziła go po prostu, tym bardziej że Feliks twierdził stanowczo, iż miał on ubiór i postawę do złudzenia przypominającą jego pana, omal nie dodał: "świeć Panie nad jego duszą", ale się wstrzymał, przeżegnał tylko gadatliwą gębę i obejrzał się na boki, jak gdyby tam miał się znajdować ktoś, kto jego powiedzenie miał podchwycić i w lot urzeczywistnić.

Historia o Indianach (którzy przy tym grali w hiszpańskie karty) jeszcze mniej przemawiała do przekonania Stampowi. Nie umiał powiązać wszystkich faktów, które zresztą mogły być zarówno przywidzeniami pijanego mózgu Feliksa.

Wiadomości te naruszyły równowagę umysłu starego Zabulona. Już samo zniknięcie Henryka Pointdextera i łzy biednej Luizy poruszyły w nim serce, zaskorupiałe na pozór w grubym zajęciu dostawcy skórek i zwierzyny. Teraz zaś nieobecność Maurycego dolewała goryczy. Miał

przecież wrócić w przeddzień jeszcze do swej pustelni nad Alamo.

A pojawienie się jeźdźca bez głowy, ale za to w stroju tak zwanego Geralda, nadawało nieobecności tej piętno grozy.

Stary Stamp wyszedł na dwór i usiadł w cieniu olbrzymiego drzewa jukkowego. Przed nim rozciągała się równina prerii. Na pierwszym planie wznosił się lekki pagórek, z którego zazwyczaj obserwowano zbliżających się ku tej stronie. Stary Zeb zamyślił się głęboko. Niegdyś był pastorem w zamieszkałej okolicy nad brzegami Missisipi, ale po stracie żony i ukochanego jedynaka syna uszedł w głąb leśnych ostępów, aby tutaj samotnie spędzić tę resztę życia, którą mu Stwórca jeszcze pozostawił. Przekonał się, jak wiele dobrego mógł uczynić w tych dzikich okolicach i całym sercem, wszystkimi swoimi wysiłkami starał się dopomóc gnębionym Indianom, białym gnębiicielom, poniewieranym czarnym. Toteż wszędzie go kochano i wszędzie szanowano.

Do Maurycego przywiązał się głęboko. Przypominał mu on tego młodzieńca, który był równie piękny, równie silny i pełen zapału a który był jego synem. Zbolałe serce starego trapera znajdowało pociechę w towarzystwie młodego. Znał tajemnicę jego pochodzenia, ale nie namawiał Maurycego do powrotu na łono ojczyzny, cierpiącej pod obcym jarzmem w przemocy niewoli. W głębi serca zaś chciał go jak najdłużej zatrzymać w swojej okolicy.

- Już, jak ja umrę, to sobie pojedzie, śmieszne rzeczy - mawiał nieraz sam do siebie,

jak to było jego zwyczajem, podczas długich samotnych wycieczek.

I znowu teraz miał go utracić. Ostatnie przywiązanie w życiu miało być źródłem klęski ostatecznej. Gorzki żal przeppełnił mu duszę. A mgliste ły przesłoniły mu widok bladozielonych prerii.

Nagle z zamyślenia wyrwał go głos Feliksa.

- Mister Stamp! Mister Stamp - wołał stary pijaczyna, stojąc w progu domostwa, a oszalały z radości. Tara skakał dookoła niego, machając ogonem, ujadając i łaszcząc się.

- Cóż takiego? - warknął myśliwy na starego.

- Niech pan patrzy. Tara przyleciał skądś zmordowany. Nie było go całą noc.

- No i cóż? Włóczył się gdzieś zapewne!

- Tak. Ale on ma jakąś kartkę przywiązaną na sznurku do szyi.

Zeb skoczył na równe nogi. Porwał kartkę i podniósł ją do oczu.

- Feliksie! Żyje, jest! Patrz, czytaj! Żyje! - Zawołał natychmiast.

- Ależ ja nie umiem czytać - powiedział na to z godnością i obrażonym tonem stary sługa.

- Nie umiesz czytać? To prawda! Ta kartka dla mnie musi być przeznaczona, bo po angielsku pisze. Przypomniał sobie starego w nieszczęściu, no, no, no, osiodłaj konia, Feliksie, zamykaj chatę na rygle.

Jeszcze się na coś przydamy twemu panu. Biedaczek krwią list nakreślił!

Feliks stał z rozdziawioną gębą i nie rozumiał. Wydawało mu się, że stary po prostu zwariował. Ale Zeb fuknął nań tak, iż Feliks poznał, że nie ma tu żartów.

- Cóż to jest? Stoisz jak głupi. No, jazda! Bierz jakiś płaszcz, prześcieradło i sznur i w drogę, każda chwila jest cenna. A nuż go tam znowu wilki opadną!

Niebawem ruszyli w drogę. Bez trudności odnaleźli miejsce nad źródłem, gdzie spoczywał wycieńczony Maurycy. Tara ich tam zaprowadził i biegając wkoło swego pana, szczełał radośnie. Niestety, Maurycy był nieprzytomny i nie odzyskał przytomności do samego domu.

Stary myśliwy ułożył go z pomocą Feliksa w łóżku i napoił ciepłą herbatą z arakiem. Ale Łowca Mustangów począł się ciskać gwahownie i opowiadać w gorączce o takich rzeczach, że Zeb wyprawił czym prędzej Feliksa z izby, sam zaś, jak mógł, uspokajał chorego, choć to nie na wiele się przydało.

- Luizo, Henryku! - powtarzał wciąż Maurycy - biedny Henryku, po coś wyjeżdżał za mną? Nie trzeba jechać za mną, Henryku!

Ja przebaczę, przebaczę... ale ty mi przebac, przebac mi za śmierć swoją, biedny Henryku!

Albo znowuż wracając do pierwszych czasów swojej młodości, przypominał w malignie wuja i tak mu przedkładał:

- Widzisz, wujaszku, jak dobrze, że się nauczyłem jeździć konno.

Nic innego nie robiłem, tylko jeździłem konno. Miałeś mi to za złe, ale to mi się przydało. To ty, wujaszku? - dodawał, biorąc Stampa za rękę. - To ty, mój drogi wujaszku? Więc mi przebaczasz, że zostawiłem cię samego w pustych pokojach zamku? Ach, wujaszku, wujaszku, zabierz mnie z sobą do domu, do domu!

Wołał wciąż: "do domu" i płakał jak dziecko...

Zabulon siedział przy łożu chorego aż do samego rana.

Rozbierając Maurycego, z przerażeniem zauważył, że ten miał na sobie płaszcz i kapelusz Henryka.

- Na Boga! - warknął stary - jakoś ten kapelusz nie na swoim miejscu siedzi! Dobrze, że przynajmniej ma na czym siedzieć, bo już myślałem, słuchając bajd Feliksa, że mój Maurycy spaceruje bez łba na karku.

Przed świtaniem pies zaczął ujadać i rzucać się do drzwi. Stamp natychmiast zgasił

świecę i wyszedł przed dom. Ale wokół było pusto i głucho, tylko w dali majaczyły ciemne zarośla, odsłaniając w kilku miejscach nagi grzbiet wzgórza. Stamp miał już na dzisiaj dość samotnych rozmyślań i czuwania, chciał też czym prędzej powrócić do chaty, nie widząc naokoło nic podejrzanego. Ale gdy się właśnie do odwrotu zabierał, stłumione stąpanie konia doszło jego uszu. Przypadł do ziemi.

Po chwili z ciemności wynurzyła się sylweta jeźdźca. Stamp poznał płaszcz Geralda. Na bladym szafirze przedrannego nieba sylweta jeźdźca zarysowała się wybornie: tak, Stamp się nie mylił, jeździec nie miał głowy! Stamp nie wierzył własnym oczom. Więc to nie była halucynacja pijanego Feliksa! Mój Boże, jakaż mara przeraźliwa. Zeb zerwał się na równe nogi.

Ale zjawa nie znikła, przeciwnie, koń miarowym truchtem, nie poganiany przez straszliwego jeźdźca, zbliżał się ku starymu traperowi.

Stamp nie wytrzymał i porwał się do broni. Zawahał się jednak.

A nuż w tym widziadle tai się życie jakiegoś człowieka? Zawołał przeto głośno:

- Hej, tam, dobrodzieju, panie tego, dlaczego wyjechałeś na spacer bez głowy?

Głos jego rozległ się bez echa w pustym stepie i tak wydawało się starymu, że drżał nieco. W odpowiedzi na głos ten rozległo się tylko ciche rżenie konia.

- Czy jesteś głuchy?! - zawołał znowu Stamp, podnosząc głos dla dodania sobie odwagi. - Chce oto z tobą mówić Zeb Stamp, stary myśliwy znad brzegów Missisipi. Tu nie ma żartów, śmieszne rzeczy. Nóżki na stół! Albo połkniesz kulę, zrozumiałeś? Jeszcze milczysz? Ha! Daję ci sześć sekund czasu do namysłu. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć... sześć...

w tym miejscu rozległ się strzał. Echo jego pobiegło wzdłuż budzących się fal Alamo, ale jeździec pozostał w siodle sztywny i wyprostowany. Zawrócił tylko konia w miejscu prawie i pocwałował w step.

Zeb Stamp nie należał do zabobonnych ludzi. Ale krew zamarła mu w żyłach. Przeżegnał się i zmówił "wieczny odpoczynek", choć wargi latały mu jak w febrze.

Wrócił do domu: widok zbiedzonego Maurycego i Feliksa naprawdę przejętego chorobą swego pana wlał mu trochę otuchy do krwi. Potrzebował się zająć czymś konkretnym. Zmienił choremu opatrunek i chciał coś przegryźć. Ale okazało się, że z powodu zamierzonego wyjazdu cała spiżarnia opustoszała, a Feliks nastraszone tajemniczymi widziadłami, wydudlił do kropli wszystką wódkę. Zeb Stamp wybrał się więc na polowanie.

Gdy wyszedł przed chatę, słońce oblewało złotem całe bladozielone prerie. Uśmiechnął się stary bezzębnymi ustami do słońca: zawsze to raźniej po dniu, i począł kroczyć po trawie, srebrzystej od rosy. Buty jego otrząsały jasne kropelki i zostawiały ciemne ślady za sobą.

- Hej, tam! - zawołał z dala do Feliksa, który się gotował do czyszczenia koni. - Pilnuj pana, bo możemy tu mieć wkrótce niepożądanych gości. A ja się tu obejrzę za jakim indykiem na obiad, Śmieszne rzeczy! Jakby tylko kto co, to zaraz wołaj na mnie, ja daleko nie odejdę.

Feliks pokiwał głową i patrzył za odchodzącym starym. Resztki wódki jeszcze mu się w głowie kręciły, ale i tak nic by z tego wszystkiego, co się w ostatnich godzinach koło niego stało, nie pojął. Pokiwał więc, jak się rzekło, głową i poszedł do swojej pracy, której jednak nie dane mu było skończyć.

XIII. Niefortunne odwiedziny i co z tego wynikło

Ledwie dziesięć minut (najwyżej) stary Feliks czyścił swoje konie, gdy dobiegł jego uszu tętent. Serce mu mocno zabiło w piersi, ale lękał się spojrzeć w tamtą stronę, wyobraził sobie bowiem, że to będzie znowu jeździec bez głowy. Ale tym razem nieznajomy miał głowę, i to nie była jakaś Śliczną i pięknie osadzoną.

- Tfu - splunął Feliks - czy tu się szkuta z jakimiś przygodami! rozbiła w pobliżu? A czego waść chcesz? - zagadnął niechętnie.

Jeździec zeskoczył zręcznie z konia. Dopiero z bliska poznał stary Feliks, że była to kobieta.

- A niech cię diabli... - zaklął - toż to Zadora!

Ale udawał, że nie poznaje wielbicielki swego pana i że ją bierze za młodego mężczyznę, gdyż Izadora uważała, że w męskim stroju jest bezpieczniej włóczyć się po puszczy.

- Czy zastałam mister Geralda? - zapytała, zbliżając się do palisady.

- Jeżeli bym powiedział, że go nie ma w domu, skłamałbym bezczelnie - odparł z wolna Feliks. - Ale...

- Co, ale?.

- Nie wiem, o co panu chodzi.

- Chciałabym się z nim widzieć.

- O, to pan źle wybrał! - powiedział Feliks, podkreślając słowo "pan" dla zaznaczenia, iż niby to nie poznaje pięknego gościa. - Chyba że pan jesteś księdzem albo doktorem.

A w myśli dodawał po polsku:

- A pójdiesz ty stąd, szelmo babo! Patrzcie na nią, jakiego jej się kąska zachciało. Kiecki porzuciła i w portkach lata! - mruczał prawie głośno, zadowolony, że go Izadora zrozumieć nie może.

Piękna Hiszpanka poruszała się niecierpliwie.

- Nuże, tłumacz się jaśniej, co się z panem dzieje.

- A co panu potrzeba od niego?

- Chcę go odwiedzić.

- To się nie w porę jegomość wybrał, nie wpuszczę.

- A to dlaczego?

- Przede wszystkim, bo to nie wypada!

- Nie wypada? Patrzcie mi go tam! Nie rozumować...

- Pewnie, że nie wypada. Mój pan oprócz koszuli nic na sobie nie ma. I to jeszcze targa rękami te resztki odzieży.

- Ależ to okropne! Ja nic z tego nie rozumiem.

- Czy nie rozumie pan, że mój pan leży w łóżku?

- Ale dlaczego?

- Bah!... gdybym ja wiedział. Ale tu nikt nic nie wie, nawet sam poczciwina Zabulon Stamp.

- Leży w łóżku? Więc jest chory...

- Pewnikiem żeby po zdrowiu w łóżku nie leżał.

- Co mu jest?

- Ciało ma do żywego podrapane. Ale najgorsze, że mi się zdaje, że ma ranne serce.

- Ranny?

- Jakby go kto wsadził do worka z kotami. Straszne rzeczy.

- A serce?

- No serce, to niby tak. Kobieta... - szepnął dramatycznie, nachylając się ku uchu Izadory i z zadowoleniem śledząc, jak się mieni na twarzy .

- Głupie żarty i nieprzystojna poufałość - warknęła Izadora, machnąwszy w powietrzu szpicrutą. - Puszczaj mnie doń natychmiast.

- Niewiele by panu z tego przyszło.

- Dlaczego?

- Jest nieswój.

- Jak to nieswój?

- E! Pan to nic nie rozumie, jakbym po hiszpańsku gadał! Nieswój i basta! Rzuca się po łóżku, jakby go pogrzebaczem grzali. Może pan ma trochę wódki, bo nam wszystko wyszło?

- Ale czyż nie widzicie, że jestem kobietą?

- Albo to kobiety nie pijają wódki? Niech mi pani nie zawraca głowy .

- Cóż to za zuchwały służący! Puścisz mnie czy nie?

- Nie puszczę.

- Mam ważną rzecz do zakomunikowania panu Geraldowi!

- To można odłożyć na później. Dzisiaj nie odróżni pani od starej Indianki.

- Mam mu spłacić dług.

- To go pani nie potrzebuje widzieć. Może pani zostawić go u mnie.

A ja pokwituję. Wprawdzie pisać to nie umiem, ale krzyżyk postawić to i owszem!

- Ależ, ośle - nasrożyła się Hiszpanka - nie o pieniądze tu chodzi.

- To szkoda! Przydałyby się.

- To jest dług moralny.

- Moralny? - spytał przeciągle Feliks. - Przyznam się, że tego nie rozumiem.

- To mnie nic nie obchodzi. Puść mnie!

- Nie puszcę i basta! Jestem tu po to, aby nikogo nie wpuszczać i nikogo nie puszczać!

- Doskonale! - zawołała Izadora i wyminawszy Feliksa, skierowała się ku drzwiom z widoczną chęcią wejścia do chaty siłą. Zdecydowane zaciśnięcie ust przekonało Feliksa, że Izadora ma jakieś złe zamiary względem jego pana. Począł więc głosem wielkim wołać:

- Na pomoc! Zeb Stamp, na pomoc!

Izadora, ogłuszona przeraźliwym krzykiem zdenerwowanego sługi, stanęła niezdecydowana. Niebawem nadbiegł zdyszany Zeb Stamp.

- Co się stało? - zawołał już z daleka do przestraszonego Feliksa.

- Na miłość boską! - zwróciła się do niego Izadora. - Niech mi pan pomoże. Muszę się natychmiast widzieć z panem Geraldem.

Grozi mu poważne niebezpieczeństwo.

- W jaki sposób znalazła się pani tutaj?

- Przyjechałam, po prostu. Czy mogę się widzieć z misterem Geraldem?

- Ależ oczywiście.

- Czy naprawdę jest chory?

- Jest w tej chwili nieprzytomny!

- Niech pan pozwoli pozostać przy nim. Cała wyprawa wyruszyła z kolonii na poszukiwanie jego siedliska. Na szczęście nie znają drogi i już drugi dzień błądzą. Ale lada chwila mogą być tutaj. Moja ręka może się tu przydać!

- Ależ oczywiście, jest pani najdzielniejszą kobietą w tej okolicy, miss Izadoro!

- To jest miss Izadora? - z głupia zagadnął Feliks. - A ja nie poznałem!

- Doskonale się składa - ciągnął Stamp - opieka kobiety jest tu koniecznie potrzebna. Niech go pani dogląda, a niech pani uważa, żeby nie spadł z łóżka i nie pozrywał opatrunków.

Izadora kwapiła się do izby. Zabulon zatrzymał ją na chwilę.

- Wie pani... - powiedział - jedna rzecz...
- Proszę, niech pan mówi - zawróciła się Izadora.

Stamp przypomniał sobie całą historię Izadory, którą mu Maurycy opowiadał. Odgadł, jaki wulkan gorzał w piersi dziewczyny. Bał się, że włączenie w tak już skomplikowaną akcję jeszcze jednej kobiety pociągnie za sobą nowe i osobliwe zakłócenia.

- Może jednak pani lepiej zaczeka, aż Maurycy powróci do zdrowia.
- Dlaczego? - niecierpliwiła się Hiszpanka.

- No, bo widzi pani, on jest nieprzytomny... Nie pozna pani...

Powtarza imię jakiejś kobiety...

- Jakie imię?

- Zapewne siostry, którą pozostawił w kraju.

- Co pan mówi, panie Stamp! Pan Maurycy nie ma... - wtrącił się znowu do rozmowy Feliks.

- A ty mi swego nosa nie wtrącaj co chwila! - ofuknął go groźnie Zeb Stamp - lepiej weź fuzję i idź na pagórek. Patrz, czy nie nadjeżdżają nieproszeni goście. A ja wrócę do polowania. Trzeba pomyśleć o smacznym obiedzie, skoro nam taki piękny gość przybył! tu skłonił się i odeszli obaj z Feliksem.

Izadora weszła do chaty. Gerald leżał z otwartymi oczami na łóżku.

Pot gorączkowy pozlepiał mu pasma włosów nad czołem. Pochyliła się nad nim.

Ale nagle skoczyła, jakby ją zmija ukłuła w serce. Gerald wymówił imię Luizy z takim uczuciem, jakby cały skarb jego życia zamknięty był w tym imieniu.

*

Dzień poprzedni był najcięższym dniem w życiu miss Pointdexter. Na dnie rozpaczy pogrążona, znikąd nie miała ratunku. Ledwie wytrzymała do wieczora, ale noc nie przyniosła jej wytchnienia. Florynda, zaniepokojona, nasłuchiwała za firanką, ale Luiza nie płakała. Tylko straszliwa niepewność i ból przerażały jej serce... Morderca? Nie morderca? Kocha Izadorę? Czy nie?

Nim ranek zaświtał, postanowiła rozciąć wszystkie niepewności najprostszym sposobem: jeszcze rosa nie zdążyła obeschnąć na trawie, gdy kazała sobie podać pstrokatego mustanga i mimo przedstawień Pluton a i molestowań Floryndy wyruszyła w drogę w kierunku baraku nad rzeką Alamo. Myśl, że przekona się osobiście, czy Maurycy żyje, i dowie się od niego, co znaczył list Izadory, dodała jej otuchy. Poranek był prześliczny, piękno przyrodzenia, otaczające ją zewsząd, napełniało ją spokojem.

- Człowiek, który życie swoje spędza wśród tych cudów - mówiła sobie - nie może, nie może być tak przewrotny! Niestety dodawała po chwili - Niestety, jak okrutni są mieszkańcy tej pięknej krainy! - I lzy zawisły na jej długich rzęsach.

Wypoczęty mustang przeniósł swą młodą panią do osiedla Łowcy w niecałe dwie godziny. Jakże boleśnie ścisnęło się serce dziewczyny, gdy wpadając do chaty, ujrzała pochyloną nad łóżem inną postać niewieścią. Z piersi jej wyrwał się okrzyk bólu. Jak echo odpowiedział jej krzyk tamtej. Luiza oparła się o futrynę drzwi. Obie kobiety zmierzyły się i przeszły spojrzeniem.

- Czy żyje? - zapytała wreszcie Luiza.

- Żyje i jest do usług jaśnie pani - z furią zawołała Izadora i wyszła, trzaskając drzwiami.

Nieprzytomna dosiadła konia i skoczywszy nań, poczęła go okładać szpicrutą; zwierzę pędziło jak oszalałe; cwałowali brzegiem Leony.

W sercu Izadory rozpętała się prawdziwa burza. Wspomnienie cudownego ocalenia i początków miłości wycisnęły jej lzy; polały się one gorącym strumieniem. Tyle rzeczy ich łączyło, wspólne upodobania, jednaka prawie zręczność, zamiłowanie do koczowniczego życia! I oto ten delikatny kwiat, wyhodowany za przysłonami hacjendy, odbierał jej to

serce.

- Zemsty! Zemsty! - wołała Izadora, zaciskając drobne pięści.

Niebawem ujrzała w oddali oddział ludzi. Nie było to wojsko, bo większość jeźdźców miała szerokie kapelusze, jakie noszą plantatorzy teksańscy. Izadora domyśliła się, kto są owi jeźdźcy, i postanowiła bezzwłocznie wykonać swą zemstę. Dopadła dowódcy wyprawy i zapytała:

- Czy to pan Woodley Pointdexter? Tak? - a na twierdzącą odpowiedź ojca swej rywalki dodała: - Zapewne panowie szukają domu Łowcy Mustangów, Maurycego, zwanego Geraldem. Znajduje się w tamtej stronie! - wskazała paluszkami - będziecie tam w niecałe dwadzieścia minut - dodała uprzejmie - o ile się pośpieszycie! Lękam się, żeby wam nie zemknął na pstrokatym mustangu! zawołała, uderzając konia ostrogą.

- Na Boga! Co to znaczy?! - krzyknął młodzieniec w na pół wojskowym stroju, zacinając konia i jadąc śladem Izadory. - Stój, pani, i powiedz, co to znaczy?

- To znaczy - krzyknęła Izadora, nie wstrzymując cwału, odwracając się tylko do Kasjusza - to znaczy, że miss Luiza jest w chacie Łowcy Mustangów! Niech żyją dzisiejsze kobiety!! - zakrzyknęła głośno, aż koń, stuliwszy uszy, jeszcze szybszym pocałował tempem.

- O Boże! - jęknął na to Kalchun i zawróciwszy konia, podążył w przeciwnym kierunku.

Tymczasem w sercu Luizy na widok bladego oblicza Łowcy Mustangów gniew stał jak śnieg na wiosnę. Rzuciła się ku łożu chorego i okrywała ręce jego pocałunkami.

- Geraldzie! - wzywała - Geraldzie, czy nie poznajesz twojej Luizy?

Ale Maurycy, leżąc w gorączce, nie poznawał świata; powtarzał tylko bezmyślnie jakiś wiersz:

Najpiękniejsze pomiędzy aniołami ziemi...

Nie dadzą się w piękności równać z niebieskimi.

Chyba ten anioł prerii, szlachetna...

Tu się zawahał, lecz po chwili dodał:

...szlachetna Luiza...

I znowu zaczynał od początku.

Luiza słuchała go ze łzami w oczach, gdy wpadł przerażony Feliks.

- Miss Izodoro, miss Izodoro - wołał z daleka, ale jakież było jego zdziwienie, gdy zamiast Hiszpanki znalazł Luizę; widać zasnął sobie na wzgórzu i nie widział tego "changement des dames", jakie odbyło się przy łożu rannego: - Miss Luizo, to pani! Boże, jakżeby się Moryś ucieszył, gdyby panią zobaczył! - zawołał radośnie. No, ale tu nie ma co tracić czasu, bo tamci są już na karku. Zaraz tu będą, wszystko przepadło!

- Kto? Gdzie? - nie rozumiała Luiza.

- Pani krewni i z jakie pół kopy innych sąsiadów fortu Inge. Nie zdążę już zawiadomić Stampa. Już pewnie są przy palisadzie.

Luiza z przerażeniem pobiegła ku oknu, ale w tej chwili rozległ się gwahowny tętent i Woodley Pointdexter wpadł do chaty razem z Kasjuszem Kalchunem.

- Luizo! - zawołał - na Boga! Skąd ty tutaj?

Wzrok jego padł na porzucone ubranie Maurycego, wśród którego leżał płaszcz i kapelusz Henryka i przez chwilę złuda nadziei ożywiła jego oblicze.

- Jezus Maria! - wykrzyknął - może to on! - i pobiegł do łoża. , Niestety, w łóżku, na zmiętej poduszce ujrzał blade oblicze Maurycego. Odwrócił od niego swój wzrok z pogardą i pełne bólesci oczy zwrócił na córkę.

- Luizo - wyszeptał - Luizo, pielęgnujesz mordercę twego brata!

- Nigdy - zawołała z mocą Luiza - nigdy nie uwierzę...

- Cicho, kuzynko, cicho - zawołał gwahownie Kasjusz - nie' masz nic do powiedzenia

w tej sprawie.

- Ruszaj w tej chwili do domu! - zawołał gwałtownie Pointdexter, a gdy córka ociągała się z wykonaniem rozkazu, chwycił ją za rękę i wyprowadził przed dom. - Siadaj na twego mustanga! - zlecił jej cicho, i aby się nikt nie dowiedział o jej obecności, wyprowadził ją tylnym wyjściem na prerię, sam przyprowadził pstrokatę mustanga i przywołał młodego kuzynka, który mieszkał od niej niedaleko, prosząc go o odprowadzenie Luizy do domu.

Nie zajęło mu to dziesięciu minut czasu, a już za powrotem swoim na dziedziniec ujrzał półnagiego Maurycego, wyprowadzonego z chaty i otoczonego chmurą osadników, którzy poczęli go obrzucać stekiem wyzwisk. Nieprzytomny młodzieniec chwiał się na wszystkie strony, podtrzymywany mocnym ramieniem dwóch farmerów. Ze wstrętem spojrzął na niego stary Pointdexter, ale machnął ręką.

- Niech się dzieje, co chce - powiedział sobie - mojego Henryka nic mi nie powróci! - i zakrywszy oczy dłonią, usiadł w chacie przy stole, na którym rozlażył kapelusz i płaszcz zamordowanego, oczywiste dowody winy Maurycego.

Geralda związano i położono na ziemi u stóp jukkowego drzewa, wznoszącego się w pośrodku podwórza. Rozjuszeni plantatorzy zebrali się naokoło niego i poczęli go lżyć i kopać nogami. Maurycy rzucał się tak bardzo, że jeden z wyprawy usiadł mu na nogach, aby unieruchomić go na czas improwizowanego sądu.

Na przewodniczącego wybrano najstarszego wiekiem i dość spokojnego Sama Maurycego, który, wystraszony, nie wiedział, jak ma się zachować. Za dwóch asesorów stanęło dwóch braci Jeansy, młokosów a przyjaciół Kasjusza Kalchuna. Sąd niedługo się rozwodził nad badaniem świadków, a jeden z usłużnych farmerów wymosł z opuszczonej chaty sporą linkę, służącą do przewiązywania pak z rzeczami, i zawiązał ją w kształcie stryczka. Zebrani plantatorzy kołysali się ze szmerem (snadź na wyprawę zabrano niejedną flaszczyne) i wołali: - Wieszac go! nie gadać!

- Co tu długo myśleć! - zawołał jeden z sędziów. - Znaleziono w jego domu płaszcz i kapelusz zamordowanego, jest to dowód oczywisty! No, Billy, zarzuć mu pętlę na szyję.

- To jeszcze za mało! - próbował zatrzymać sprawę Sam Maully. - Dowodów w tym nie widzę żadnych! Lękam się, że powiesicie niewinnego.

- Co za gadanie! - porwał się gwar wśród zebranych. - wieszac go! Może Sama powiesimy razem z nim? - zapytywał jeden z gorliwych mścicieli Henryka Pointdexter.

Sam Maully przestraszył się nie na żarty i usmiechał się głupkowato.

- Ja nie! No, co.... Ale mi się zdaje...

- Co się tam tobie zdaje? - zuchwale wystąpił Kasjusz Kalchun.

- Jeżeli jeszcze wam mało, to dodam moje opowiadanie. Wielu z was dostrzegło, jak z tego domu wychodziła kuzynka moja, Luiza Poindexter. Nie wahała się przestąpić progu splamionego krwią jej brata! - zawołał, zaciskając pięści - hańba jej wieczysta! To ona spowodowała śmierć brata. To o nią się pokłócili Łowca Mustangów z Henrykiem!

I oglądając się co chwila na drzwi chaty, skąd lękał się nadejścia zbolatego ojca, opowiedział zebranym, zabarwiwszy je odpowiednio, dzieje księżycowej nocy.

- No? - zakończył opowiadanie - czy wam to nie dosyć? Czy to nie jest dowód?

Plantatorzy ze szmerem niecierpliwym słuchali wywodów Kasjusza, a gdy ten zakończył, wybuchnęli gromkim okrzykiem:

- Śmierć! Śmierć mordercy!

I wzięli się do Maurycego. Podnieśli go z ziemi i zarzucili mu stryczek na szyję.

Tymczasem poszukajmy Feliksa. Co się z tym meboraklem dzieje.

Gdy posłyszał w sieni tupot kroków Pointdextera i Kalchuna, schował się do podziemnej piwniczki, gdzie już nie było baryłek. Korzystając, że po ich wyjściu izba była przez chwileczkę pusta (nie licząc chorego), wyskoczył przez okno i czym prędzej przesadziwszy palisadę, uciekł w stronę, gdzie miał polować Zeb Stamp.

Już więc Geraldowi zaciśnięto powróż na szyi, a przeciwległy koniec linki przerzucono przez gałąź jukkowego drzewa, gdy nagle od wrót rozległ się tubalny głos:

- Stój!

Wszyscy spojrzeli ku tamtej stronie. Zeb Stamp z rozwianą brodą i bez kapelusza pędził ku osiedlu, a za nim zdyszany i blady jak trup Feliks, powtarzający w kółko:

- Ratuj, panie Zabulonie, ratuj pan naszego panicza!

- Stój - ryczał Zeb Stamp - nie ruszać go, bo kulę w łeb wpakuję! Rzuć sznurek w tej chwili! Rzuć! - i stanąwszy w. pośrodku podwórza, wziął szelmę Billy'ego na muszkę.

- Mister Pointdexter! - zawołał do izby. - Mister Pointdexter! Chyba pan nie dopuści do morderstwa, popełnionego na chorym człowieku. A ty, Samie Mauly, stary dziadu, nie wahasz się należeć do takich bezceństw? Tchórze jesteście, a nie mężni Tekszańcy!

- Pan nie zna faktów! - próbował oponować Kasjusz Kalchun.

- Ale i pan ich nie zna wszystkich! - zawołał, patrząc mu przenikliwie w oczy, stary traper. - Albo może pan część faktów ukrywa? A ja znam także niektóre fakty, tak samo jak ten służący Geralda, który mi towarzyszy. Znaleźliśmy Geralda pokaleczonego i nieprzytomnego w gąszczu puszczy, gdzie go o mało nie zjadły wilki... Nie mógł nam nic jeszcze opowiedzieć. Kto wie, może w jego mocy jest dowieść nam swej kompletnej niewinności w sprawie morderstwa Henryka Pointdextera, które także nie jest takie pewne. A wy tutaj urządacie wariacką awanturę, chcecie wieszać zacnego młodzieńca i mego przyjaciela - dodał podniesionym głosem, rozglądając się po obecnych, jakby szukał wzrokiem śmiałka, który by chciał mu się sprzeciwić - dlatego tylko, że się panu Kasjuszowi chciało pozbywać rywala do ręki miss Pointdexter. Tak! - powtórzył, śmiało patrząc w oczy Kalchuna - śmiem twierdzić, iż panem Kalchunem powodują w tym wypadku względy osobiste, i to nie tylko żal po stracie kuzyna.

Farmerzy ochłonęli i ze wstydem spoglądali na siebie.

Sam Mauly westchnął i powiedział:

- Kto wie, czy stary nie ma racji! Chcieliśmy pono zlinczować niewinnego człowieka!

- No, to odstawimy go do fortu i tam, uwięziony, będzie czekać, aż sprawiedliwość określi stopień jego winy.

- Nareszcie mądre słowo - mruknął Stamp przez zęby.

A zatem nieszczęśliwego młodzieńca rozwiązano, złożono go na rozpięte na dwóch koniach przeszcieradło i stępa ruszono w drogę.

Po upływie godziny od tych gwahownych zdarzeń osiedle Maurycego zaległa pustka, być może na zawsze.

XIV. Zanim wyrok zapadnie

Smutek zapanował niepodzielnie w domu Pointdextera. Śmierć młodego Henryka nie ulegała wątpliwości. Woodley, Luiza i Kasjusz nie rozmawiali ze sobą. Przebywali przeważnie w swoich pokojach, nie komunikując się. Dumny plantator zgarbił się pod ciężarem podwójnego nieszczęścia. Biedny starzec mniemał bowiem, że wraz ze śmiercią Henryka wstąpiła pod dach jego strata córki. Kalchuna nie było nigdy w domu, zjawiał się zaledwie na noc, Luiza zaś albo zamknięta w swoim panieńskim pokoiku, albo na tarasie bawiła się wspomnieniami, albo widziała siebie w szczęśliwej dobie dzieciństwa, w towarzystwie biednego Henryka, wesolą, radosną, pełną życia. Albo znowu przypominała sobie każdą chwilę przebytą w towarzystwie tego, który pod zarzutem morderstwa przebywał obecnie w więzieniu, powoli przychodząc do zdrowia. Nie mogła mu przyjść z pomocą. Opinia całego fortu bezwzględnie była skierowana przeciwko cudzoziemcowi.

A zresztą ojciec śledził pilnie każdy jej krok i nie pozwalał jej wydalac się poza obręb Casa del Corvo.

Zeb Stamp przebywał także niedaleko. I on wyjeżdżał codziennie aż do wieczora, rankami tylko zwykle widywał się z Luizą i rozmawiali o wypadkach. Każdy dzień przynosił coś nowego. Jednego dnia znaleziono ubiory czterech Indian porzucone w krzakach, innego znowuż aresztowano Stepowego Wilka oraz jego trzech towarzyszy, którzy, jak się okazało, pod osłoną tego kostiumu harcowali w okolicy. Od tego momentu podejrzenia rzucały na Maurycego poczęły słabnąć.

Zbrodnię mogli równie dobrze popełnić fałszywi Komancze, być może to oni napadli w drodze i pokaleczyli samego Łowcę Mustangów.

- Jak myślisz pan - pytała Luiza - czy to oni zabili biednego Henryka?
- Być może. Choć ja osobiście mam inne podejrzenia! - odparł stary myśliwy.
- Ale nie podejrzewasz Maurycego? - zatrwożyła się dziewczyna.
- No, nie, miss Pointdexter! - odparł z uśmiechem Zabulon. Za Maurycego jestem gotów ręczyć głową.

- A tymczasem cały ciężar zarzutów spada na niego.
- Postaramy się je odeprzeć, droga miss Luizo!
- Ach, czy to jeszcze jest możliwe?
- Oczywiście. Prerie to olbrzymia księga, którą trzeba umieć czytać! W ostatnich czasach przesiadywałem więcej w więzieniu u tego biedaka. No, ale teraz, kiedy mu jest lepiej, zabieram się do pracy. Chwała Bogu, deszczu nie było od dawna, to ślady nie zmyte. Do widzenia, miss Luizo, przyjadę dopiero za trzy dni.

Pożegnawszy Luizę, Zeb S tam p udał się do stajni, gdzie Pluton karmił właśnie konie.
- Po co się pan tak śpieszy, panie Stamp - zagadnął życzliwie Pluton - niech się pańska klacz wypasie, wtedy pan ruszy w drogę. Widzi pan, jaki pański koń zmordowany.

- Ano, bo daleko jeździłem... Ze sto mil...
- No, to gniady pana Kasjusza zrobił co najmniej dwieście. Niech pan patrzy, ledwie stoi!

- A któż to na nim jeździ?
- A któż by, jak nie pan Kasjusz? Od tamtej nocy...
- Od jakiej nocy?
- Od tej nocy, kiedy pan Henryk nie wrócił...
- To co?..
- To pan Kasjusz nie zsiada z konia. Nawet tej samej nocy...
- Co?

- E, kiedy mi zakazał mówić...
- Przecie mnie możesz powtórzyć. Nie jestem plotkarka, baba.
- Tej samej nocy to tu gdzieś ktoś jeździł na tym gniadoszu. Ale nie widziałem, kto go wyprowadził ze stajni i kto z powrotem przyprowadził. A kiedy zapytałem mister Kasjusza o to, to mi zakazał mówić i jeszcze zagroził batem.

- O! jeżeli tak - powiedział poważnie Zabulon - to rzeczywiście nie mów nikomu. Zobacysz, że ja nie powtórzę, ale i ty trzymaj język za zębami. Masz rację, zresztą, niech mój koń wypocznie! Proszę cię, przynieś mi także co z kuchni do przegryzienia. A jeżeli dasz jeszcze i co do popicia, no, to będziesz złoty chłopiec.

Pluton nie kazał się dwa razy prosić, rzucił szczotkę i zgrzebło i poleciał do kuchni. Zabulon obejrzał tymczasem dokładnie kopyta zmachanego gniadosza.

- Tam do licha! - krzyknął. - Pęknięta podkowa! - To powiedziawszy, niewiele myśląc, zerwał z lewego tylnego kopyta pękniętą podkowę i schował ją czym prędzej w myśliwskiej torbie, bo właśnie wracał Pluton ze szklanką whisky.

- Kto wam tu kuje konie? - zapytał od niechcienia.

- Mamy kowala Jaka - odparł Pluton - a dlaczego pan pyta?

- Hm... śmieszne rzeczy... tak sobie. Chciałem podkuć konia.

A u was kiedy kuto?

- Będzie jaki tydzień - powiedział Pluton - a dziś będziemy kuć gniadosza. Pan Kasjusz kazał podkuć swojego wierzchowca; ma jedną podkowę złamaną.

- To doskonale! - powiedział, podnosząc się, Zeb Stamp jak tylko wrócę, to okuję!

I po chwili myśliwy ruszył w stępy. Z drogi wiodącej od Pointdexterów do fortu skręcił i jadąc prerią, nie odrywał oczu od ziemi. Po chwili wydał radosny okrzyk:

- Mam cię! Oto jest ślad prawdziwego zbrodniarza.

Odkrywszy ten ślad, Zabulon Stamp nie wsiadł już na konia, ale wiodąc go za sobą, podążał za wskazówkami puszczy. Badał je z zamięłowaniem i znanstwem, jak archeolog, który czyta zatarte piśmidła.

Z zajęcia tego obudził go strzał, który rozległ się na skraju lasu.

Podniósłszy głowę, ujrzał w tej stronie obłoczek dymu.

- Psiakrew! - zawołał. - Kto tam może polować o tej porze?

Ale nagle ujrzał pędzącego ku sobie konia. Spojrzał uważnie i wykrzyknął zdziwiony:

- Przebóg, toż to jeździec bez głowy!

To mówiąc, z zaboboną trwogą, skrył się w krzaki. Spłoszony snadź koń jeźdźca bez głowy lotem błyskawicy przebiegł obok niego.

Zeb Stamp rozpoznał siodło, kapelusz, płaszcz i niebieską bluzę, tak dobrze znane jego oku. Nie mógł jedynie odróżnić twarzy, uciętą bowiem głowę jeździec przyciskał do piersi.

- Boże! - zawołał na ten widok stary myśliwy. - Więc to prawda! Biedny chłopak zabity! - To mówiąc, przeżegnał się i odmówił modlitwę za dusze zmarłych.

Następnie wynurzył się z zarośli i skierował się w tę stronę, skąd doleciał go huk wystrzału. Zdumiał się, gdy niebawem spostrzegł Kasjusza Kalchuna, który pędził za jeźdźcem bez głowy, nic nie widząc naokoło.

- E! - powiedział stary - sprytnyś! Ale ja od ciebie sprytniejszy!

Zawrócił też zaraz i puścił się śladem obu jeźdźców. Niebawem ujrzał, że Kasjusz wpadł na wapienną część prerii i zgubił ślady konia na kamienistym gruncie. Rzucił się w tę i w ową stronę, jednak nie mógł znaleźć drogi, którą uciekł przed nim jeździec. Natomiast widocznie odnalazł dawne ślady sprzed tygodnia, gdyż zszedł z konia i począł zacierać je na ziemi nerwowo, nie bacząc, iż w ten sposób zostawia jeszcze wyraźniejsze poszlaki. Stary traper gwizdnął tylko przeciągle, gdy go zobaczył przy tym zajęciu. Widocznie stan nerwów Kalchuna pogarszał się z dniem każdym, skoro popełniał jedną nieopatrność za drugą. Oddawał się w ręce starego myśliwego, nie przeczuwając, że ktoś,

go śledzi.

Śledził go Stamp nawet w nocy. Jak tylko się ściemniało, zaczął się na drodze wiodącej z Casa del Corvo do fortu Inge i czekał cierpliwie. Dom Pointdexterów stał pusty i ciemny; dawniej dolatywały z niego dźwięki banjo i odgłosy murzyńskich piosenek, dziś wesołość go opuściła; nakryty cieniem nocy wydawał się raczej podobny do sarkofagu niż do domu. Księżyc wstawał bardzo późno i tylko skrawkiem, który jednak dawał sporo światła. Zeb Stamp dobrze się ukrył w przydrożnym krzaczku przed okiem Kasjusza. Klacz przywiązał o jakie dwieście kroków od swojej kryjówki. Stamp był mocno zmęczony przeżyciami ostatnich dni i nieustającym ruchem, ale postanowił wytrwać na stanowisku i nie zmrużyć oka.

Jakoż dopiero koło północy brama Casa del Corvo otworzyła się cichutko i Kasjusz Kalchun ukazał się w niej na małym siwym mustangu. Zeb Stamp czym prędzej podkraść się ku swojemu koniowi i udał się trop w trop za kuzynem Luizy. Na srebrzystej od zo;zy trawie widniały wyraźne ślady konia, niebawem jednak obok tych śladów Zeb Stamp począł odróżniać inne.

- Oho! - pomyślał sobie stary myśliwy. - Kasjusz dopiął swego celu. Jest na bezpośrednim tropie jeźdźca bez głowy. A kto wie? Może go nawet schwycił?

W tej chwili rozległ się w gęstwinie strzał, którego echo zbudziło śpiącą puszcę. Zeb Stamp szybko schował się w gąszcz, gdyż usłyszał zbliżający się tętent, po chwili przemknął obok niego Kasjusz Kalchun. Promienie zachodzącego księżyca padały przez zarosła na sclezkę, którą jechał, i oświetlały jego twarz. Zeb Stamp przestraszył się tej twarzy nie na żarty. Jak Orestes ścigany przez erynie Kasjusz popędzał konia, a oblicze miał blade jak płótno, wargi zaciśnięte, oczy latały mu niespokojnie i co chwila oglądał się za siebie. W całej jego postaci widniało do ostatecznych granic doprowadzone zdenerwowanie.

- O Boże! - pomyślał Zeb Stamp. - Nigdy jeszcze w moim życiu nie widziałem podobnie przerażonej twarzy. Sądzę, że nieszczęśliwa Luiza nie zechce takiego mężulka. No, ale co go tak przestraszyło? Zdaje się, że nikt go nie goni. Trzeba zbadać rzecz całą.

I gdy Kalchun zniknął mu z oczu w cieniu prerii, skoczył na konia i ruszył w kierunku lasu. Zaledwie minął pierwsze zarosła i wyjechał na małą polankę, koń jego począł parskać, strzyc uszami i przestępować z nogi na nogę. Wreszcie w pewnym miejscu rumak skoczył w bok gwahownie. Zeb Stamp zszedł z konia i zrobiwszy parę kroków, stanął jak wryty. W trawie leżała ludzka głowa, z naciśniętym na nią obszernym kapeluszem. Okrwawiona i zeszpecona, połyskiwała w świetle księżyca szeroko otwartymi oczami. Spod zaciśniętych białych warg połyskiwały białe zęby.

- Boże! - zawołał Stamp na ów okropny widok. - Jakże ja będę mógł pokazać tę głowę ojcu nieszczęsnej ofiary?

Przez chwilę zastanawiał się nad tym, co ma czynić. Najlepiej by było, gdyby mógł zakopać żaloszny szczątek na tej polanie, gdzie go znalazł, ale po chwili przyszło mu na myśl, że głowa ta może być jeszcze jednym świadectwem przeciwko okropnemu zbrodniarzowi.

Toteż z ciężkim sercem podniósł jednak okrwawiony przedmiot, owinął go w stary płaszcz, i obwiązawszy szczelnie, przytroczył do siodła, aczkolwiek rumak jego boczył się i prychał, nie chcąc przyjąć okropnego ładunku. Wskoczył potem na siodło i pojechał dalej.

Ponieważ nazajutrz wypadła pogoda, a upał poranny zwiastował du~żność południową, więc władze wahały się, gdzie odbyć rozprawę sądową. W forcie Inge nie było sądu stałego, ale właśnie teraz, kiedy wbrew przewidywaniom Maurycy, zwany Geraldem, wrócił do zdrowia, przybył sędzia okręgowy, któremu przypadło w udziale rozpoznanie prócz innych także jego sprawy. Tak samo niespodzianie zjawił się adwokat zawezwany i sprowadzony nie wiadomo przez kogo, mały ruchliwy człowieczek z Saint Antonio. Oprócz mego zjawił się także nieznajomy adwokat, jeden z największych obrońców stolicy Rosji, który przybył tu w zupełnie innym celu, a dowiedziawszy się, że młody Łowca Mustangów oskarżony jest o zbrodnię, wstrzymał się z wyjaśnieniami celów swej dalekiej podróży i czekał na wynik. Ostatecznie zdecydowano, że rozprawa odbędzie się na dziedzińcu fortu Inge. Podwórzec ten, z trzech stron otoczony korpusem fortecy, z czwartej otwierał się na przestrzeń.

U stóp góry widniały zarośla i srebrzyły się fale Leony, która łagodnym łukiem zawracała się ku preriom, ozdobiona po brzegu wieńcem ogrodów i białymi kwiatami rozlicznych hacjend, z których wspaniałością budowy wyróżniała się Casa del Corvo. Wzrok licznie zebranej publiczności zwracał się, przyciągany jakby magnetyczną siłą, ku temu jasnemu domostwu, nad którym zawisła chmura smutku. Zanim sąd zasiadł, cisnęli się wszyscy ku barierze i zapuszczali wzrok, prześlizgnawszy się po Casa del Corvo, w bladezielone przestrzenie prerii, które się rozciągały półokręgiem aż po sam horyzont. Z tego wysokiego miejsca obejmowało się wzrokiem rozległe stepy; zdawały się one piętrzyć w oczach po prostu i wznosić, ku górze, jak morze na starych obrazach.

Zielone tło prerii - jak piękna to rama dla tych wysztafirkowanych oficerów, brunatnych cowboyów, śmigłych jak jelenie łowców mustangów, którzy z wszech stron spieszyli na podwórzec forteczny! Kobiet nie było wiele. Luiza w ciemnej sukni, podtrzymująca ojca, a sama podtrzymywana przez wierną Floryndę, była przedmiotem powszechnej uwagi. W jednym z górnych okien za spuszczoną firanką błyskała para czarnych oczu - to Izadora pomiędzy jednym, wyb.uchem rozpaczy a drugim, ukryta w izdebce kapitana Slomena, śledziła akcję, odbywającą się na płytach kamiennych podwórza.

Śliczna córka karczmarza także tu przybyła wraz z kilkoma grubymi przekupkami, chudą i czarną kabalarką i paroma innymi mieszkańcami osiedla.

W środku podwórza stał długi stół, przy którym zasiedli sędziowie. Wprowadzono bladego jak trup Geralda. Zawezwani świadkowie zajęli długą ławę naprzeciwko sędziów, adwokat stanął na małym stole, żołnierze otoczyli kordonem owe miejsce, przykryte długim cieniem fortecznego budynku i sąd się rozpoczął.

- Dzentelmeni - powiedział sędzia, odkładając cygaro - zebraliśmy się tutaj, aby rozstrzygnąć sprawę dość niejasną. - Tu chrząknął mocno. - Mamy przed sobą dzentelmena, który jest podejrzany o morderstwo syna jednego z okolicznych plantatorów, młodzieńca, który zniknął w niewytłumaczony sposób. Maurycy Geraldzie! Czy przyznajesz się do popełnionej zbrodni?

- Nie - krótko, ale stanowczo odrzekł podsądny.

- Nie pozostaje nam więc nic innego - powiedział, znowu chrząknawszy, sędzia - jak zbadanie świadków.

Zeznanie Oldufferry'ego i jego córki, od których rozpoczęto badanie, wypadło raczej na niekorzyść podsądnego, choć jasno nie przedstawiało sprawy. Gdyby Maurycy szukał Henryka - no to jeszcze. Ale dlaczego ofiara miała tak gwałtownie szukać mordercy i spieszyć jego śladem? - Nie wiadomo. Podejrzane jednak było, że Gerald tak gwałtownie zmienił plan i cichcem wyjechał w nocy.

Ale to, co powiedział następnie Kalchun, nie pozostawiło już żadnych wątpliwości. Kalchun nie szczędził kuzynki i opowiedział całą historię księżycowej nocy: schadzki,

wzburzenie Henryka, kłótnię w ogrodzie i pogoń Henryka za Geraldem. Sprawa stała się jasna: wzrok wszystkich skierował się na bladą postać Luizy, okrytą ciemnym kwefem. Wówczas przewodniczący wymówił jej nazwisko.

Wstała i śmiało zrobiła parę kroków oddzielających ją od stołu. Stała, unosząc welon i ukazując blade, ale prześliczne oblicze. Ciężka to była chwila w jej życiu. Ale była pewna siebie. Drżącym, ale wyraźnym głosem złożyła przysięgę. Wiedziała, że zeznanie jej obciąży ukochanego, ale wiedziała również, że musi powiedzieć prawdę.

Podczas zeznań Kalchuna Woodley Pointdexter zakrył twarz dłonią. Straszne ciosy waliły się nań. Oto czekało go jeszcze publiczne przyznanie się jego córki do tego, że urządziła schadzki z nieznanym Łowcą Mustangów. Duma plantatora zraniona była boleśnie. Ale oto zeznania Luizy.

- Gdzie pani była, miss Pointdexter, w noc, kiedy zniknął brat pani?
- W domu mojego ojca, w hacjendzie Casa del Corvo.
- Czy wychodziła pani tej księżycowej nocy do ogrodu?
- Tak, wychodziłam.
- O której godzinie?
- Około północy.
- Czy w ogrodzie była pani sama?
- Nie. Później nadszedł mój brat Henryk.
- A czy przed nadejściem pani brata był tam jeszcze ktoś?
- Naturalnie. Był pan Maurycy Gerald.

Młodzieniec siedzący na ławie oskarżonych rzucił na młodą dziewczynę spojrzenie pełne zachwytu. Przez tłum przeleciał szept zgorszenia, a może wzruszenia.

- "Pan" Maurycy Gerald - syknął przez zęby Kasjusz.
- Jeszcze jedno - powiedział sędzia, bawiąc się cygarniczką - czy przechadzka pani była przypadkowa, czy umówiona?
- Umówiona.
- A czy nie odmówi nam pani odpowiedzi na pytanie, jaki cel miała owa schadzka?

Luiza wahała się, ale potem, spojrzawszy mocnym wzrokiem na sędziego, ciągnęła pewnym głosem:

- Nie potrafię ukrywać tego. Chciałam się zobaczyć z człowiekiem, którego kochałam, którego kocham dziś jeszcze, chociaż siedzi w tej chwili na ławie oskarżonych, niesłusznie posądzony o zabicie mojego najdroższego brata.
- Czy to prawda, że między pani bratem a podsądnym wymkła kłótnia?
- Tak.

W tej chwili szmer tłumu, który towarzyszył zeznaniom Luizy, nagle się przeobraził w krzyk.

- Powiesić go, powiesić! - wołano z tłumu i żołnierze musieli nastawić kolby karabinów, aby przemoc napór tłumu. Sędzia powstał i ledwie mu się udało powstrzymać rozruch.
- Brat mój jednak, kiedy mu wytłumaczyłam, jak drogi sercu memu jest mister Gerald oraz że nie jest zwyczajnym Łowcą Mustangów (na te słowa Pointdexter odjął ręce od twarzy i spojrzał na Luizę), chciał przeprosić go i udał się za nim w tym celu do oberży.
- Kłótnia mogła się odnowić! - syknął znowu Kalchun, a tłum się znowu zakochał.
- Powiesić go, na stryczek z nim! - wołano z całego gardła.

Rozognione twarze farmerów i cowboyów świadczyły, że ktoś ich rozagitował zarówno gorącymi słowami, jak i bardziej jeszcze gorącymi trunkami.

- Obywatele! - zawołał głośno sędzia. - Jakże można wieszać człowieka, który we własnej obronie nie rzekł jeszcze i słowa? Jakże byłby to sąd? Nie mieszajcie się więc w nie swoje sprawy. A jeżeli jeszcze przerywać nam będziecie, hm - chrząknął głośno - no, to każę opróżnić podwórze, pozostawiając tylko świadków, a reszta fora ze dwora!

Taki argument, a zwłaszcza perspektywa utraty dalszego wątku sprawy, uciszyły niesfornych Teksaszczyków. Miał zeznawać Zeb Stamp. Ale ten poprosił sędziego, aby mógł złożyć swe odpowiedzi dopiero po słowie podsądnego. Wprawdzie zazwyczaj się tego nie praktykuje, ale tym razem sędzia przychylił się do prośby szanowanego powszechnie starca.

- Dżentelmeni! - zaczął swą przemowę Gerald, powstając z godnością, kiedy przysłała nań kolej - szlachetne zeznania miss Pointdexter, która nie wahała się wyznać prawdy, rozwiązuje mi usta. Pomogą mi one w wykazaniu fałszu, kryjącego się w zeznaniach innych. Wdzięczny jej jestem, że narażając na szwank swą dobrą sławę, pomogła mi w oczyszczeniu się ze straszliwego zarzutu. Dżentelmeni! Istotnie naszą nocną schadzkę, która miała być pożegnalną, gdyż chciałem odpłynąć do Europy, naszą, powiadam, schadzkę, przerwało zjawienie się brata miss Pointdexter, drogiego Henryka. Prawdą jest, że nie szczędził on mi wówczas wyrazów oburzenia, ale kłamie ten, który mówi, że kłótnia nasza powtórzyła się później. Przeciwnie, Henryk Pointdexter przeprosił mnie za swą porywczosć, a ja wszak nie mogłem gniewać się na niego. Zawsze dla niego miałem szacunek, był to człowiek miły, miał dobre serce, a przy tym był bratem mojej narzeczonej.

- Oho, ho! - zawołał w tym miejscu Kalchun:

- Pogodziliśmy się z Henrykiem - kończył, nie bacząc na nic, Maurycy.

- Gdzie nastąpiła zgoda? - zapytał sędzia.

- W odległości jakich czterystu jardów od miejsca zabójstwa.

Wszyscy zachnęli się na te słowa, a sędzia powstał wzburzony ze swego miejsca, znów odkładając na bok cygaro. Dotychczas nikt me mówił z taką pewnością o fakcie zabójstwa Henryka.

- Ma pan raczej na myśli miejsce, w którym znaleziono kałużę krwi? - zapytał z naciskiem sędzia.

- Mówię wyraźnie o miejscu, gdzie został zamordowany Henryk Pointdexter.

Tłum zafalował. Ktoś jęknął boleśnie.

- Jest pan pewien zatem, że Henryk Pointdexter został zabity.

- Tak jestem tego pewien. Ale opowiem, jak to się stało.

Już było prawie południe. Rozprawa ciągnęła się wolno, a uspokajanie wzburzonego tłumu zabierało wiele czasu. Zniecierpliwiony adwokat z Saint Antonio przestępował z nogi na nogę, ale dotąd nikt nie zwracał nań uwagi, a sędzia z ust mu wyrывał wszystkie jego pytania: Słuchano słów Geralda z zapartym tchem. Ten zaś w te słowa powiadał:

- Z przykrym uczuciem porzucałem ogród Casa del Corvo i przepłynąłem rzekę, oglądając się wciąż za siebie. Przykrość ta płynęła nie tylko z rozstania się z miss Luizą, ale także z powodu nieopatrznych zarzutów młodego Henryka. Ponieważ nic mnie już więcej nie zatrzymywało w hotelu, a zależało mi na jak najszybszym wyruszeniu w podróż do Europy, dokąd mnie wzywały zaniedbane obowiązki...

Tu nieznamy adwokat z Petersburga pokiwał smutnie głową.

- Postanowiłem wyruszyć jeszcze tej nocy do kryjówki swojej, położonej nad brzegiem Alamo. Jechałem wolno. Sen, spłoszony tymi przeżyciami odleciał daleko. Było mi wszystko jedno, gdzie spędzę noc: w periach czy pod dachem własnego, z trudem wzniesionego domu. Znalazłszy się w lesie, usłyszałem za sobą tętent konia; miałem się na baczności i chciałem się ukryć, gdy poznałem Henryka Pointdextera, który śpiesznie podążał moimi śladami. Z początku lękałem się, że zapalony młodzian będzie żądał ode mnie satysfakcji, jakież było jednak moje zdumienie, gdy krzyknął na mnie miłym i wesołym głosem: "Panie szwagrze, nie umykaj tak prędko!" Gdym się zatrzymał, dopadł mnie i w serdecznych wyrazach począł mnie przepraszać. uścisnęliśmy się po bratersku, jak najlepsi przyjaciele, odprowadził mnie spory kawałek, potem zatrzymaliśmy się pod drzewem i wypaliliśmy po cygarze. Wtedy przyszedł mi do głowy pomysł, abyśmy, zwyczajem Komanczów, na znak braterstwa i wieczystej zgody zamienili z sobą płaszcze i kapelusze. Śmieliśmy się i byliśmy rozradowani

jak dzieci: obaj samotni w życiu, cieszyliśmy się braterstwem. Po dokonaniu zamiany rozstaliśmy się, Henryk pojechał w stronę domu, ja zaś odzyskałem dobry humor i zaraz z humorem senność zaczęła mnie ogarniać. Postanowiłem zdrzemnąć się na chwilę i owinięty w płaszcz Henryka położyłem się pod drzewem. Jeszcze nie zdążyłem zasnąć jak należy, gdy zbudził mnie odgłos strzału, dolatujący od skraju lasu. Zacząłem pilnie słuchać, ale w lesie nic nie zdradzało obecności wroga, zasnąłem więc spokojnie. Zbudził mnie dopiero chłód bardzo wczesnego ranka. Wstałem i kierowany dziwnym uczuciem, które mnie ciągnęło w tamtą stronę, poszedłem sprawdzić, czy strzał na skraju lasu nie był tylko moim złudzeniem. I oto oczom moim ukazał się...

- Jeździec bez głowy! Jeździec bez głowy! - nagle zakrzyknięto w tłumie i zgromadzeni, opuszczając okole sądu, cisnąć się poczęli ku balustradzie, wskazując jakiś punkt ruchomy na zielonym stepie. W samej rzeczy był to straszliwy jeździec, jednak widać nie widmo, skoro w samo południe, w pełnym blasku słońca ukazywał się oczom zgromadzonych osadników. Z przerażeniem spoglądali nań wszyscy, a on dojechał do stóp prawie fortecy, stanął na samym brzegu Leony, tak że znajdował się w dole nad rzeką, przed samymi oczami zgromadzonych, przedzielony niewielką liczbą jardów w linii powietrznej. Można było odróżnić szczegóły jego ubioru i uzdy, ściągającej nozdrza pięknego rumaka. Koń, jakby poczuł obecność wielu ludzi w górze, podniósł głowę ku fortecy, gdzie krawędzie tarasu obsiadło czarne mrowie, i zarżał przeciągle. Po czym zawrócił gwałtownie i znowu w step popędził.

Sędzia zawiesił posiedzenie i stanął również na brzegu balustrady. Gdy koń tajemniczy zdawał się unosić jeźdźca w dal, zawołał głośno:

- Hejże, panowie, nie tracić czasu! Pojmać mi tego konia, będzie to, zdaje się, niezbędny świadek w tym tajemniczym procesie:

Wielu nie czekając zachęty sędziego, rzuciło się do siodłania przywiązanych przed wejściem do fortecy koni. Wśród nich był Kalchun oraz Zabulon Stamp.

Niebawem zgromadzonym na tarasie widzom przedstawił się piękny spektakl pędzącej co koń wyskoczy gromadki farmerów. Jeździec bez głowy zniknął już prawie w słonecznych mgiełkach oddalenia, z grupy zaś pościgu odrzucili się niebawem dwaj jeźdźcy. Wszyscy poznali naprzód Kalchuna, a w trop za nim goniącego, Zeba. I oni również zatarli się na stepie. Wobec tego sędzia powrócił do zawieszonych spraw.

- Co pan ujrzalesz w lesie? - zwrócił się sędzia do Geralda, znowu zasiadając przy stole.

Ożywiona publiczność podzieliła się obecnie na dwie grupy: jedni z zajęciem śledzili odbywający się na stepie wyścig, inni powrócili do zeznań podsądnego. Kapitan Slomen przyniósł lunetę polową o obaj wraz z pięknym Hencokiem wydzielali sobie z rąk ów instrument.

- Co on robi?! Co on robi?! - zawołał Hencoc zdumiony, nie puszczać z rąk tuby, którą mu Slomen siłą wyszarpywał. Oczom jego ukazał się mały biały obłoczek, który oddzielił się od jadącego naprzód Kalchuna. Po chwili do uszu obecnych dobiegł bardzo daleki i przytłumiony odgłos strzału z pistoletu.

- To Kasjusz strzelił! - zawołał kapitan Slomen.

- Tak! - odpowiedział Hencoc, odejmując lunetę od oka i wszyscy spostrzegli, że pobladł ze wzruszenia. - Tak, ale on strzelił do starego Stampa!

Otoczający powitali to powiedzenie zdumionym okrzykiem.

Tymczasem Maurycy opowiadał sędziemu.

- Ujrzałem na ziemi człowieka. Zrazu wydało mi się, że śpi, ale kiedy pochyliłem się nad nim, spostrzegłem, że ma odciętą głowę. Był to biedny Henryk. Leżał w kałuży krwi... - tu żywe zatamowały mu mowę. - Sądziłem przez chwilę - ciągnął, opanowawszy serdeczne wzruszenie - że Henryka zamordowano za pomocą noża. Ale przy bliższym zbadaniu okazało się, że ugodzono go kulą w pierś. Kula nie przeszła na wylot, lecz utkwiała w ciele. Trupa widocznie pozbawiono głowy potem.

- Czy pan nikogo nie podejrzewa o zbrodnię? - zapytał sędzia.

- Nikogo - odparł spokojnie Maurycy. - Indianie skalpują zazwyczaj zabitych, a rozbójnicy ograbiliby trupa, tymczasem rzeczy Henryka pozostały nietknięte. Musiałem dać znać do fortu Inge o strasznym wypadku. Nie mogłem zostawić trupa, lękałem się bowiem drapieżników. Trzeba go było zabrać ze sobą. Mustang Henryka był tak wylękniony, że ledwie mi się udało go złowić, a o władowaniu trupa na jego siodło nie mogło być mowy. Musiałem więc biednego Henryka wsadzić na mego konia, przemocować go lassem w siedzącej pozycji i przywiązać głowę do piersi. Sam zaś dosiadłszy zestrachanego mustanga, ruszyłem w towarzystwie martwego jeźdźca do Inge. W pewnej chwili koń, na którym jechałem, obejrzał się i tak się nastraszył potwornej postaci, jaka za nami jechała, że poniósł gwałtownie, kierując się w najgęstszy las. Puściłem cugle, chroniąc głowę od nawisłych gałęzi, wreszcie ugodziłem całym ciałem w zwisający nad ścieżką konar starego dębu i zwałem się na ziemię, tracąc przytomność. Gdy obudziłem się, nade mną krążyły jastrzębie, a naokół wilki.

Tylko szczęśliwy zbieg okoliczności ocalił mnie od śmierci, sprowadzając w ustronie leśne, gdzie leżałem, naprzód wiernego psa, a potem sługę mego Feliksa i zanego przyjaciela Zeba Stampa. On też najlepiej panom opowie, co się dalej stało, gdyż ja straciłem wówczas przytomność, a odzyskałem ją dopiero wczoraj, obciążony strasznym zarzutem. A właśnie mój przyjaciel nadchodzi!

Oczy wszystkich zwróciły się ku sklepionym wrotom cytadeli, w które wjeżdżała mała kawalkada. Z cienia łuku wynurzył się Kasjusz Kalchun, a za nim baczny na każde jego poruszenie brodaty Zabulon, a wreszcie prowadzony za uzdę ukazał się koń Maurycego, a na nim straszliwy jeździec bez głowy.

Milczenie zapanowało naokoło. Niektórzy farmerzy odkryli głowy.

Woodley Pointdexter porwał się z ławy i bez słowa patrzył na straszliwie okaleczonego trupa. Okropne widmo wprowadzone między ludzi okazało się tylko żałosnymi zwłokami!

Nagle ciszę przerwał miarowy krok. Kapitan Hencoc postąpił z czterema żołnierzami do Kasjusza Kalchuna.

- Aresztować go - zawołał głosem, który zagrział echem po dziedzińcu - widziałem przed chwilą przez lunetę, jak ten człowiek strzelał do zanego Zabulona Stampa!

Dookoła Kalchuna powstało zamieszanie. Zeb Stamp zaś wprowadził jeźdźca bez głowy do koła przed stołem sędziów i zawołał:

- Oto jest nowy świadek! Jego nieme zeznania rzucą snop światła na naszą pogmatwaną sprawę!

Odpowiedział mu okrzyk Pointdextera i żalospny płacz Luizy. Sędzia kazał odprowadzić trupa na bok pod osłoną żołnierzy i zdjąć go z konia, na którym od przeszło dwóch tygodni przebywał. Stary plantator i jego córka podążyli za nim.

- Co pan wie w sprawie Maurycego Geralda? - zapytał go wzburzony nawałem zdarzeń sędzia.

- O panu Geraldzie mało wam powiem - odparł Zeb Stamp bo każdy z naszej okolicy poświadczy, że to uczciwy, zany, energiczny, szlachetny młodzieniec. Ocaliliśmy go wraz z Feliksem i poczciwym pieskiem od niechybnej śmierci, raz nad strumieniem w lesie, gdzie spadł z konia, drugi raz, kiedy niecna zgraja pod przewodnictwem tego pana, który przed chwilą strzelał do mnie na stepie, pragnęła go powiesić na jukkowym drzewie w obrębie jego własnej zagrody.

Ale nie będę wam o tym wszystkim mówił. Znacie to dobrze. Powiem wam natomiast parę słów, i to o wiele ciekawszych, o panu, którym dotąd sąd wysoki prawie wcale się nie zajmował. Badając ślady koni, prowadzące do miejsca, gdzie odkryto kałużę krwi, spostrzegłem tropy trzech wierzchowców: jeden mustang Henryka, drugi to koń Maurycego, trzeci amerykański ze złamaną podkową. Na tym koniu ktoś podążał za tamtymi młodzieńcami.

Ten ostatni koń miał trzy podkowy całe, czwartą zaś pękniętą: oto ona! - Tu Stamp wydobył ukrytą dotychczas podkowę. - Zabójcą jest ten, który jeździł na amerykańnie!

On właśnie zatrzymał się nad kałużą krwi, stamtąd zaś odjechał z powrotem. On zabił młodego Henryka.

- Kto taki? Jego nazwisko! - poczęto wołać w tłumie.

- Sądzę, że znajdziecie je wypisane w ciele zabitego! - dodał tajemniczo Zeb Stamp.

W tej chwili od strony, gdzie złożono zniekształconego trupa, dobiegły okrzyki. Po chwili przypadł forteczny felczer, który snadź dokonywał sekcji zwłok, bo zawołał:

- Panie sędzio! W sercu ofiary znaleziono ten przedmiot - ukazywał go oczom obecnych - kulę znaczoną inicjałami "K.K." Tu kapitan Slomen wstąpił w koło sądowe.

- Zgłaszam się jako świadek, iż kule znaczone inicjałem "K.K." są własnością Kasjusza Kalchuna! Niedawno dowodził trafności swego strzału do jaguara tym właśnie inicjałem. Mogę to zeznać pod przysięgą, chociaż oficierskie słowo honoru wystarcza, mam nadzieję.

- Pomału, panowie! - zawołał zrozpaczony sędzia, zerkając na niemego adwokata z Saint Antonio. - Kula to jeszcze nie dowód!

Mogła być skradziona przez zbrodniarza!

- W takim razie cóż pan sędzia powie o tym skrawku papieru, który posłużył zbrodniarzowi za przybitkę do strzelby? Znalazłem na gałązce krzewu w pobliżu miejsca zbrodni. Jest to kawałek koperty z adresem. Proszę uprzejmie o przeczytanie.

- Kapitan Kasjusz Kalchun - przeczytał jeden z asesorów wyraźnie.

- Ale skąd panu wiadomo, panie Stamp, że przybitka ta służyła do tego akurat strzału, który położył kres życiu młodego plantatora? - zapytał sędzia.

- Panie sędzio! - wyrwał się wreszcie milczący dotąd adwokat z Saint Antonio i wtedy okazało się, że był jąkałą. - Panie sędzio! Przecie - ciągnął, mocno się zacinając - pan Kalchun nie strzelałby do pana Stampa, gdyby... gdyby...

- Gdyby nie myślał, że pan Stamp jest posiadaczem całej prawdy! - Tak, strzelał, strzelał, widziałem to na własne oczy - wołał w uniesieniu Hencoc - i dlatego kazałem go aresztować.

Maurycy rzucił wdzięczne spojrzenie adwokatowi.

Długo milczał, ale jego odezwanie się uratowało mi życie - pomyślał sobie.

Stawiono więc przez sądem związanego Kalchuna.

Zdarzenia, które opisujemy tak prędko, aby zadośćuczynić zaostrej uwadze czytelników, przeciągnęły się jednak długo, aż się słońce poczęło skłaniać ku zachodniej stronie, rzucając ukośne blaski na teatr tej dziwnej tragedii i na przestrzeń prerii, za której widownią jak zza kulis nowy gość, a niespodziewany, nadchodził ku zebrany na podwórcu. Tym gościem była śmierć.

Po krótkiej naradzie sędziowie wydali wyrok ostateczny. Nikt już nie wątpił, że to Kasjusz Kalchun był mordercą swojego kuzyna. Poblądł i już wyglądał na trupa. Gdy ogłoszono wyrok śmierci, nie drgnął mu żaden mięsień twarzy.

- Czy może pan powiedzieć coś na swoją obronę? - zapytał sędzia.

- Nic - głucho odparł skazany - wyrok jest sprawiedliwy, zasłużyłem nań.

To nieoczekiwane przyznanie się do winy zdumiało otaczających.

Grobowe milczenie zapadło na podwórzu. Tylko cykady, ukryte w trawie, bujnie wyrastającej spomiędzy bloków kamiennych, sykały przeciągle.

- To ja zabiłem Henryka Pointdextera - zabrał głos znów Kasjusz - i wiem, że czeka mnie za to śmierć. Ale mi życie niemiłe!

Zabiłem swego cioteczno brata przez pomyłkę. Niedawno dopiero dowiedziałem się o tej omyłce i ogarnęła mnie zgroza. Chciałem zabić tego oto psa! - Tu ręką, niewiadomym sposobem uwolnioną z więzów, wskazał na Maurycyego Geralda, który stał opodal, podtrzymując tonącą we łzach Luizę. - Miałem po temu swoje własne powody, których nie będę wacpanom wyjaśniał! - dorzucił. - Jedyne w błąd mnie wprowadził płaszcz jego,

którym okryty był Henryk. Byłem przekonany, że celuję do wroga, a gdy padł, nie spostrzegając omyłki, odciąłem mu głowę nożem.

Tu ze wszystkich piersi wyrwał się przeciągły oddech oburzenia.

Grupki osadników poczęły się rozchodzić. Tajemnica jeźdźca bez głowy odsłonięta została do ostatniego szczegółu.

- Obecnie wiecie już, dżentelmeni - ciągnął dalej Kasjusz co się stało. Ale nikt przewidzieć nie może, co się stanie jeszcze!

Wszyscy znieruchomieli na te dziwne słowa. Ci, którzy już odchodzili, zawrócili nagle i stanęli jak wryci, patrząc na Kasjusza. W tonie jego głosu było coś, co ich trafiło jak piorunem. Sędzia podniósł się zdziwiony.

- Jedną nogą stoję już w grobie! - wołał Kalchun w uniesieniu - ale nie umrę, zanim nie padnie tamten!

To mówiąc, błyskawicznym ruchem wyciągnął rewolwer z kieszeni i wypalił do Geralda, który się zwałił jak snop. Za pierwszym strzałem nastąpił drugi. To Kalchun strzelił sobie w skroń, ponosząc śmierć na miejscu.